

ALFRED HITCHCOCK

WŁADCA FORTUNY

NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

Przełożył: Aleksander Minkowski

TMN

ROZDZIAŁ 1

Wejście czarnoksiężnika

Sala kasyna w Las Vegas jarzyła się tysiącami świateł, których refleksy rozbłyskiwały na złoceniach i chromach luksusowego wystroju, tonęły w aksamitach i pluszach. Harcom fortuny musi towarzyszyć luksus.

Aksamitne kotary dzieliły olbrzymią salę na poszczególne salony: w pierwszym, dla plebsu, przy „jednoręcznych bandytach”, czyli maszynach do gry, trudzili się niezamożni, wrzucając żetony do zachłannych otworów i pociągając za dźwignie w nadziei, że tym razem jockery ustawią się w jednym rzędku i spłynię na nich dolarowy potok; w drugim panowie i panie, ci bogatsi, zmagali się przy karcianych stolikach; w trzecim salonie królowała ruleta — dżentelmeni w smokingach i damy w kosztownych kreacjach obstawiali pola i kolory, wstrzymując oddech, gdy krupier puszczał w ruch koło. Gdzie wyląduje srebrzysta kulka? Na czerwonym polu czy na czarnym? Na jakiej cyfrze? Do kogo los wyszczerzy zęby w hojnym uśmiechu?

Bezszelestne klimatyzatory wysysały dym papierosów i cygar. Długonogie kelnerki w mini roznosiły napoje. Atmosferę napięcia i wyczekiwania maskował gwar, żarciki, czasem okrzyk radości lub gniewne przekleństwo. W tej sali można było stracić majątek. Albo zdobyć. Częściej jednak spłukać się do ostatniego centa: eleganckie pokoje hotelu „Princess”, w którym mieściło się kasyno, pamiętały niejednego samobójczy wystrzał, kończący życie przegranego hazardzisty. Gracze nie myśleli o tym — duszę gracza do ostatniego momentu przepełnia radosna nadzieja, niezachwiana jak skała i ślepa jak kret. Inaczej nie byłoby na świecie hazardzistów.

W salonie rulety oczy wszystkich z przejęciem śledzą wirujące koło fortuny. Liczy się tylko ono. Trzeba nie lada wydarzenia, aby uwaga obecnych powędrowała w innym kierunku.

Takim wydarzeniem było wejście na salę niewysokiego śniadego mężczyzny o ciemnych, gładko zaczesanych do tyłu włosach i oczach smolistych, osadzonych głęboko pod krzaczastymi brwiami. Miał na sobie czarny strój z jedwabiu, o kroju tutaj nieznanym,

na szyi srebrny łańcuch z amuletem w kształcie węża i jakąś inskrypcją. Sam wyglądał jak wąż: wyprężony, giętki, o hipnotyzującym spojrzeniu przymglonych źrenic.

Pojawiał się w kasynie co drugi, niekiedy co trzeci wieczór. Działy się wówczas rzeczy niepojęte.

— To on... — rozległy się szepty. — Znowu on...

— Di Morte... To niemożliwe, żeby znowu...

— Takie przypadki nie mogą się zdarzać...

— Dzisiaj tego nie powtórzy...

Di Morte podszedł do rulety i od tej chwili Aron Stock, detektyw hotelowy i szef ochrony kasyna, nie spuszczał już z niego oczu. Był profesjonalistą i miał fenomenalną intuicję: jego uwadze nie uszedłby najwymyślniejszy trik, najprzebieglejsza sztuczka. Przyłapał w tym salonie paru oszustów najwyższej klasy, którym uchodziły przekręty w innych kasynach w Las Vegas — ale nie w „Princess”. Sława Arona Stocka sprawiała, że od lat żaden szuler nie śmiał przekroczyć tutejszego progu. Czyżby Di Morte rzucał mu wyzwanie?

Di Morte, jakby od niechcienia, postawił kilka sztonów na czerwony kolor i wygrał. Za drugim razem przegrał, za trzecim też. Gracze czekali na kulminację. Tajemniczy mężczyzna o demonicznym spojrzeniu zawsze zaczynał od drobnych sum, które częściej tracił, niż pomnażał. Niezwykłość następowała później.

Czy dziś także?

I na kogo wypadnie dzisiaj?

Minęła już północ, gdy obok Di Morte pojawił się jego syn — chudziutki, błydy chłopiec o twarzy wiejskiego prostaczka. Zadarty nos, piegowata buzia, lniane kędziory.

Wszyscy zamarli.

Aron Stock też zamarł, wpił się wzrokiem w dziwną parę. Syn był odwrotnością ojca, nie przypominał go w niczym. Cóż, zdarza się. Modre oczy w wianuszkach bezbarwnych rzęs patrzyły tępo przed siebie.

Di Morte z nie pasującą do niego czułością popatrzył na chłopca i pogłaskał go po głowie.

— Komu chciałbyś zrobić przyjemność, Dymitrze? — zapytał cicho. — Rozejrzyj się, synku.

Dymitr posłusznie obwiodł spojrzeniem ludzi zgromadzonych wokół rulety. Na wszystkich twarzach pojawiły się uśmiechy — pochlebne, proszące. Di Morte pochylił się do syna. Aron Stock wyteżył słuch, lecz nie usłyszał szeptu. Miał wrażenie, że chłopiec nie poruszył nawet wargami.

Ale ojciec usłyszał. Powoli uniósł głowę. Jego oczy powędrowały od gracza do gracza, aż zatrzymały się na niepozornym mężczyźnie o grubych rysach i czaszce łysej jak dynia.

— Jak pan się nazywa? — zapytał z obcym, chrapliwym akcentem.

Zaległa cisza. Łysy wytarł chusteczką czoło z nagłą pokrytą kropelkami potu.

— Aurelio — wymamrotał. — Aldo Aurelio...

— Niech pan postawi wszystko na dowolną liczbę — powiedział Di Morte. — Mój syn życzy panu szczęścia, panie Aurelio.

Łysy wysypał na stół górę sztonów o najwyższych nominałach. Skąd miał aż tyle? To kasyna nie obchodzi, pomyślał Aron Stock, tutaj lubi się gości z dużą forszą. Zaryzykuje? Posłucha, zaryzykuje i... wygra? Jeżeli spośród kilkudziesięciu liczb wybierze tę właściwą, jedyną, którą wskaże kulka — będzie to cud.

I katastrofa dla kasyna.

Takie cuda zdarzały się jednak przez ostatnie wieczory.

Di Morte nie odpowiedział mu, na jaką liczbę postawić, analizował błyskawicznie hotelowy detektyw, więc byłby to cud podwójny, cud nad cudami, po prostu absurd...

Łysy, cały czerwony, ustawił pryzmę sztonów na szesnastce. Ruleta zawirowała. Di Morte i jego syn stali bez ruchu, może metr od stolika. Gdyby któryś z nich drgnął, Aron Stock by to dostrzegł. Nie poruszyli się, aż koło stanęło.

Srebrzysta kulka znieruchomiała na szesnastce.

Jeszcze przez chwilę powietrze pulsowało kamienną ciszą. Potem wypełniło je zbiorowe westchnienie. Potem jęk. Potem eksplozja podnieconych głosów, okrzyków zdumienia, zazdrości.

Gdy Aron Stock przyszedł do siebie po szoku, który w momentach nadprzyrodzonych nie omija nawet zawodowych detektywów, Dymitra nie było już przy ojcu. Di Morte stał sam. Twarz miał nie przeniklioną, na wargach niewyraźny półuśmiech.

— Gdzie chłopiec? — zapytał Aron Stock.

— Poszedł spać. Wpadł tylko, żeby dać mi buzi na dobranoc. I przynieść komuś szczęście.

Aron Stock wyczuł w głosie Di Morte jadovitą ironię. Chciał zareplikować, warknąć, że nie wierzy w cuda i że zdemaskuje oszustwo. Ugryzł się w język. To, co widział na własne przenikliwe oczy, nie mogło być oszustwem.

No to czym? Jasnowidzeniem, telepatią? Takie rzeczy jeszcze się nie zdarzały w kasynach. A niech to!

— Uprawia pan czary? — zapytał.

— Trochę czarnej magii, astrologia, okultyzm. Zresztą, wie pan o tym, jako zawodowy detektyw, panie Stock.

Stocka zamurowało. Nikt z gości nie wiedział, kim jest. Nie miał prawa wiedzieć. Bezbłędnie udawał kibica, obserwatora, niekiedy obstawiał kolor — to najmniejsze ryzyko — drobnym służbowym sztonem. Rzeczywiście wiedział, że Di Morte zajmuje się magią, wygadał się o tym ogrodnik z wynajmowanej przez niego rezydencji na przedmieściu Las Vegas. Niewiele więcej potrafił Stockowi powiedzieć. Dodał, że w domu straszy.

W jaki sposób facet wpadł na to, że jest detektywem?

Łysy podbiegł do Di Morte, zaczął mu bełkotliwie dziękować, zaproponował udział w wygranej:

— Sto tysięcy daję dla chłopaka! Błagam, weź pan!

— Wykluczone — odparł chłodno Di Morte. — Nie handlujemy szczęściem, panie Aurelio. Niech pan dziękuje władcy fortuny.

— To pan jest władcą fortuny, mistrzu — rzucił ktoś z boku. — Gdyby tak padło na mnie, błagam, będę tu jutro, mam ciężko chorego męża...

Di Morte spojrzał obojętnie na siwą kobietę obwieszoną brylantami, potem drwiąco na Arona Stocka i bez pośpiechu opuścił kasyno.

Tak jak w poprzednie wieczory, nie zagrał o wielką stawkę dla siebie. Tego już w żaden sposób hotelowy detektyw nie był w stanie pojąć.

Bert Collins, dyrektor hotelu i kasyna, wysłuchał w milczeniu raportu Arona Stocka. Już wiedział o katastrofie finansowej: rozbicie po raz czwarty banku nie mieściło się w regułach prawdopodobieństwa i groziło hotelowi „Princess” bankructwem. A jeśli będzie się to powtarzać? Dramat. Jedynym ratunkiem byłby zakaz wstępu Di Morte do kasyna, ale w demokratycznym państwie nie wolno tego zrobić bez niezbitych dowodów przestępstwa. Szczęście nie jest przestępstwem. Rozdawanie szczęścia innym — tym bardziej. A teoria prawdopodobieństwa, na której kasyna gry zarabiają krocie, to jednak nie tabliczka mnożenia. Bywają wyjątki.

Ale nie kilka razy z rzędu, do stu tysięcy diabłów!

— Musi być przekręt — powiedział dyrektor do Stocka.

— Musi — zgodził się Aron Stock. — Za chińskiego boga nie mogę jednak wykryć, na czym polega. Zaczynam wierzyć, że Di Morte jest jasnowidzem. Wie, jaki numer wyjdzie, i przekazuje go wybranemu szczęściarzowi.

— Jak przekazuje?

— Telepatycznie.

— Wierzysz w takie bzdury? — zapytał Collins.

— Sam sobie nie wierzę, że zaczynam wierzyć — mruknął ponuro Aron Stock. — Ale nie mam innego wytłumaczenia, szefie.

— Musi jakieś być.

— Znają je dwie osoby. Di Morte i jego syn. Di Morte kpi ze mnie w żywe oczy.

— Ale jego chłopak... — dyrektor hotelu zamyślił się, pochylił głowę nad biurkiem; przypomniał sobie o pewnej sprawie, bardzo skomplikowanej (był wtedy hotelowym menadżerem w Los Angeles), z którą policja nie umiała sobie poradzić, a poradziła sobie trójka małych bawiących się w agencję detektywistyczną. Zaraz, zaraz... Zaczął grzebać w najniższej szufladzie biurka, w pudełku pełnym starych wizytówek. W końcu znalazł tę, której szukał:

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

Pierwszy Detektyw	Jupiter Jones
Drugi Detektyw	Pete Crenshaw
Dokumentacja	Bob Andrews

U dołu widniała, dopisana ręcznie, nazwa miejscowości: Rocky Beach, i numer telefonu.

— Z chłopakiem najprędzej dogada się inny chłopak — powiedział w zadumie Bert Collins, obracając w palcach wizytówkę. — Co o tym myślisz, Aron?

— Nonsens — mruknął Stock. — Tu potrzeba profesjonalisty.

— Ty jesteś profesjonalistą — rzucił Collins z nutką gniewnej drwiny i podał Stockowi wizytówkę. — Pamiętam ich sprzed paru lat. Niezwykli chłopcy, przy mnie policja im dziękowała za wykrycie fałszerza obrazów.

Aron Stock zacisnął usta. Nie lubił amatorów w swoim fachu, a już zwłaszcza nieletnich, ale co miał powiedzieć szefowi? Że poradzi sobie sam z tym cholernym czarno-księżnikiem-dobroczyńcą?

Wstał i z ponurym wyrazem twarzy opuścił gabinet dyrektora.

ROZDZIAŁ 2

Trzej detektywi podejmują wyzwanie

W kempingowej przyczepie, Kwaterze Głównej Trzech Detektywów na składowisku staroci należącym do wujostwa Jupitera Jonesa, panował nastrój wyczekiwania. Jupe krzątała się przy kuchence mikrofalowej. W końcu odezwał się brzęczyk i Jupiter wyjął z niej białą misę, od której bił smakowity aromat. Pachniało tak apetycznie, że Pete i Bob równocześnie się oblizali, pociągając nosami. Ser? Wędzonka? Przypieczone ziemniaczki?

— To mi nie pachnie dietetyczną potrawą — zauważył Bob Andrews.

— Kwestia talentu kulinarnego — powiedział nie bez dumy Jupiter. — U kucharza bez powołania befsztyk zalatuje gumą, a u zdolnego seler pachnie jak schabowy. I smakuje też. Spróbujcie zapiekanki SADKO.

— Jest taka opera Rimskiego-Korsakowa. — Bob pracował w artystycznej agencji szukającej talentów i znał się nią muzyce.

— To skrót — wyjaśnił Jupe, nakładając kolegom na plastikowe talerzyki po łyżce przysmaku: — Sałata, Dynia, Kalafior, Oraz... dodatki.

— Można coś bliżej o dodatkach? — odezwał się Pete Crenshaw, robiąc oko do Boba.

Jupiter zmieszał się lekko.

— N...no, takie tam... — wymamrotał, — Ciut wędzonego boczku, okruszek sera pleśniowego, kropelka oliwy, jajeczko..

— I tym chcesz się odchudzić? — zapytał Bob, popatrując na brzuszek Jupe'a, rysujący się krągło pod fioletową bawełnianą koszulką.

— Sałata, kalafior i dynia prawie nie mają kalorii — zapewnił Jupiter Jones i zaczął pałaszować zapiekankę.

Bob Andrews miał już gotowy komentarz, ale nie zdążył go wygłosić, bo w przyczepie zadzwonił telefon, połączony z komputerem i faksem. „Tu centrala Trzech Detektywów” — zaanonsowała automatyczna sekretarka. Jupe podniósł słuchawkę, nie pozwalając jej dokończyć powitania i prośby o zostawienie wiadomości.

— Jupiter Jones. Słucham.

Słuchał dość długo, z rosnącą uwagą. Bert Collins, dyrektor hotelu i kasyna „Princess”, zapraszał Trzech Detektywów do Las Vegas. Tylko godzinka lotu prywatnym odrzutowcem. Do dyspozycji hotelowy apartament, samochód i co tam jeszcze będzie trzeba na czas niezbędny, aby rozwiązać bardzo dziwną, wręcz niesamowitą zagadkę.

— Jaka to zagadka? — zapytał Jupe.

— Wierzycie w jasnowidzenie, telepatię i czary? — odpowiedział pytaniem rozmówca.

— Są w naturze zjawiska, których nauka jeszcze nie zbadała — odparł ostrożnie Jupiter Jones.

— Kasyna nie tolerują takich zjawisk. Dotychczas nie miały z nimi do czynienia. Tracimy ogromne pieniądze i musimy jak najprędzej temu zaradzić. Czekam na was.

— Będziemy potrzebowali komputera z wejściem do internetu, a także...

— Załatwione — przerwał mu Collins. — O technikę się nie martwcie. Upprzedzam, sprawa jest trudna. Jeśli odrzucić czary, orzech ciężko będzie zgryźć.

— Myślę, że spróbujemy.

— Czekam.

Jupe odłożył słuchawkę i wrócił do zapiekanki. Pochłaniał ją łapczywie, jakby na zapas, niczym wielbłąd wodę przed pustynnym wymarszem.

— Potrzebna mi będzie energia — wyjaśnił między jednym kęsem a drugim. — W robocie spalam mnóstwo kalorii.

— W takim razie wyglądasz jak bezrobotny... — mruknął Pete i zaraz pożałował, bo Jupe spojrzał na niego jakoś tak bezradnie, z zawstydzeniem.

— Kiedy lecimy do Las Vegas? — włączył się szybko Bob.

— Jutro rano przyślą po nas samolot.

Aron Stock odebrał ich na lotnisku i swoją sportową corvetta zawiózł do hotelu „Princess”. Corvetta była bajerancka: żółta jak kanarek, opływowa jak bolid i pełna elektroniki. Pokładowy komputer dbał o wszystko, upprzedzając o korkach i pilnując szybkości, aby docierać do skrzyżowań, kiedy zapala się zielone światło. Stock prowadził pewnie, bez brawury, obserwując badawczo trójkę pasażerów. Wyglądali jak zwykli chłopcy — Bob jasnowłosy i modrooki, typ amanta filmowego, Pete barczysty, muskularny, typ kulturysty, a ich szef. Jupiter Jones — typ amatora wszystkiego, co da się zjeść. Aron Stock obserwował i nie potrafił zaobserwować niczego nadzwyczajnego. Wyrośnięte dzieciaki, pomyślał, najwyraźniej przereklamowani, ale decyduje Collins: jeśli ich wezwał, bierze odpowiedzialność.

— Szpanerska karetka — zauważył Pete. — Chciałbym mieć taką.

— Służbowa — mruknął Stock. — Będzie do waszej dyspozycji. Ja jeżdżę starym volkswagenem.

Rankiem Las Vegas niczym nie przypominało jaskini hazardu. Wygaszone neony, opustoszałe ulice, zamknięte lokale. Tylko jaskrawe billboardy i korony palm w girlandach kolorowych żarówek wskazywały na niezwykłość miejsca. Światowej sławy Mekka hazardzistów ożywała dopiero po zmroku.

Corvetta zatrzymała się na podjeździe pięciogwiazdkowego hotelu „Princess”. Przeszklona winda bezszelestnie dotarła do najwyższego piętra. Przydzielony Trzem Detektywom apartament składał się z dwóch sypialni, saloniku i biura pełnego aparatury elektronicznej najnowszej generacji. Bob natychmiast odnotował to w myśli: sam Bill Gates, właściciel Microsoftu, czułby się tu jak u siebie.

— Rozlokujcie się i zjedźcie do hallu — powiedział Stock. — Dyrektor Collins czeka na was w swoim biurze.

Bert Collins zwięźle zrelacjonował sytuację.

— Przychodzi co wieczór — podsumował. — Zna numer, na który padnie wielka wygrana. Robi z niej prezent któremuś z gości, za każdym razem komuś innemu, i wychodzi. Żadnych sztuczek, na jakie umielibyśmy wpaść. Szczęśliwca wskazuje jego syn, kilkunastoletni Dymitr, chyba wasz rówieśnik.

— Co wiadomo o panu Di Morte? — zapytał Jupiter.

Collins spojrzał na Arona Stocka.

— Jest Rumunem, pochodzi z Transylwanii — powiedział Stock. — Ludzie plotkują, że wywodzi się z legendarnego rodu księcia Drakuli. Uprawia okultyzm, czarną magię. Oczywiście nie wierzę w te bzdury. Wynajął stary dom na pustkowiu za miastem, w zapuszczonym ogrodzie. Mieszka tam z synem i o rok starszą córką, Noemi. Dom jest strzeżony przez dwóch ochroniarzy, też cudzoziemców.

— Był pan w środku? — zapytał Pete.

Aron Stock zmieszał się: wolałby uniknąć tego pytania.

— Zajrzałem — mruknął. — Niezupełnie legalnie. Głupia sprawa...

Trzej Detektywi oraz sam dyrektor Collins spojrzeli na niego pytająco.

— Nie wspominałem o tym, szefie, bo nie chciałem wyjść na idiotę — powiedział po pauzie Stock. — Tam straszy.

— Że co? — nie zrozumiał Collins.

— Straszy — powtórzył hotelowy detektyw, wpatrzony w swe wielkie łapska pokryte rudymi włoskami; jego kwadratowa twarz, ze złamanym nosem i masywną szczęką, wyrażała konsternację.

Jupiter Jones przerwał niezręczną ciszę:

— Co wiemy o rodzeństwie?

— Noemi cały czas opiekuje się bratem — powiedział z ulgą Stock, rad ze zmiany tematu. — Chłopak wygląda na chorowitego, nigdy się nie odzywa. Są zawsze ra-

zem. Tylko do kasyna Dymitr wchodzi sam, żeby powiedzieć ojcu dobranoc i przy okazji wskazać wybrańca fortuny. Noemi czeka na niego w hallu, kierowca odwozi ich do rezydencji.

— Coś jeszcze?

— Niewiele. Próbowałem pogadać z dziewczyną, ale nic z tego nie wyszło. Chłopiec chyba nie zna angielskiego. Ochrona pilnuje, aby się do niego nie zbliżyć. Noemi codziennie bywa w klubie jeździeckim, zawsze w południe. Świetnie jeździ konno. Dymitr siedzi wtedy z ochroniarzem na ławeczce i podziwia ją. Wyglądają na kochające się rodzeństwo. Po godzinie wracają do domu. Di Morte jeszcze śpi, wstaje późnym popołudniem.

— Czy ktoś ich odwiedza? — zapytał Pete.

— Nikt — zapewnił Aron Stock. — Dom jest pod obserwacją, w pobliżu kręci się jeden z naszych ludzi. Di Morte także nie spotyka się z nikim, wychodzi tylko do kasyna.

Jupiter spojrzał na zegarek. Właśnie minęła jedenasta.

— Chcielibyśmy zajrzeć do klubu jeździeckiego — powiedział. Bert Collins wyjął z szuflady trzy ozdobne kartoniki z logo hotelu „Princess” i wpisał nazwiska Trzech Detektywów.

— To są legitymacje naszych honorowych gości. Macie wolny wstęp do wszystkich miejsc publicznych w Las Vegas. Stock zawiezie was do klubu.

— Wolelibyśmy pojechać sami — powiedział Jupe. — Wystarczy nam adres i plan miasta. Pete Crenshaw jest doskonałym kierowcą.

— Corvetta czeka przed hotelem — powiedział Stock, wyraźnie zadowolony, że nie musi im towarzyszyć, i wręczył Pete’owi kluczyki do samochodu.

Dyrektor Collins podniósł się zza biurka. Miał zatroskaną twarz, brwi zmarszczone posepnie.

— Sytuacja jest poważna — powiedział półgłosem. — Bardzo liczę na waszą pomoc.

Żółta torpeda mknęła przez miasto, które dopiero teraz, w południe, zaczynało się budzić. Otwierano sklepy i bary, migotały kolorowo niektóre reklamy świetlne z podobiznami gwiazd estrady, z rogami obfitości sypiącymi potokiem dolarów. Klub jeździecki znajdował się w południowej części miasta, zamknięty wysokim ogrodzeniem. Ponad murem widać było wierzchołki pagórków, korony drzew i purpurowy dach budynku klubowego.

— Świetna maszyna — powiedział Pete, wjeżdżając corvetą na teren klubu przez bramę, która otworzyła się automatycznie, gdy tylko Jupiter mignął portierowi hotelową legitymacją. — Ma się wrażenie, że mogłaby wzlecieć w powietrze.

Stanęli na parkingu obok granatowej limuzyny o przyciemnionych szybach, z której wysiadały właśnie trzy osoby opisane przez Stocka: bardzo szczupły chłopiec o lnianych kędziorach i bladej twarzyczce, kruczowłosa, smukła dziewczyna w stroju do konnej jazdy i muskularny mężczyzna, prawie bez szyi, w słonecznych okularach.

— To oni... — szepnął Pete.

Była punkt dwunasta w południe. Dziewczyna pobiegła w kierunku pomieszczeń stajennych, a chłopiec, podtrzymywany przez ochroniarza, niepewnym krokiem ruszył w stronę polany, gdzie hasali jeźdźcy.

Usiedli na ławeczce.

Na sąsiedniej ławce przysiedli Jupiter i Pete, zajęci rozmową.

Wkrótce na polanie pojawiła się kruczowłosa, jakby stopiona w jedną całość ze smolistym ogierem, który zdawał się płynąć w powietrzu, nie dotykając ziemi kopytami, z uniesionym ogonem i rozwianą grzywą. Chłopiec ożywił się, pomachał dziewczynie, ta mu odpowiedziała płynnym ruchem ramienia.

Ogier mknął w stronę ławki. Metr od niej stanął jak wryty. Dziewczyna nawet nie wychyliła się do przodu, jakby nie dbała o prawa fizyki. Nisko ukłoniła się chłopcu.

Jupiter Jones wpatrywał się w kruczowłosą jak zaczarowany.

Aron Stock nie uprzedził, że Noemi jest piękna. Może na nim jej egzotyczna uroda nie robiła wrażenia, lecz Jupitera zamurowało. Z rozdziawionymi ustami gapił się na delikatny profil, śmiały rysunek warg, wielkie zielonkawe oczy pod kurtyną wywiniętych do góry, bardzo długich rzęs. Zadziwiały go brwi: wąskie i wygięte łukiem, niczym skrzydła drapieżnego ptaka. W całej twarzy było coś drapieżnego, jakaś skrywana dzikość.

— Dla mnie za bardzo demoniczna — mruknął Pete. — Pewnie podobna do tatuścia.

— Dla ciebie najładniejsza na całym świecie jest twoja Diana Bundy — odmruknął z uśmiechem Jupe. — A ja...

Nie dokończył. Dymitr dał jakiś znak siostrze. Ta zaśmiała się i skinęła głową. Ogier nagle poderwał się, stanął dęba, wykonał w miejscu wysoki podskok, a Noemi już klęczała na siodle, potem wyprostowała się, stanęła...

Wszyscy jeźdźcy na polanie patrzyli z podziwem i w oszołomieniu na czarnowłosą amazonkę i na cuda, jakie wyczynia na pędzącym koniu — stójki na rękach, pojedyncze i podwójne salta, zeskoki i wzloty w galopie. Była jak ptak, który bawi się z niezdatnym zwierzęciem, wlatując nad nim i opadając, wbrew prawu ciężkości, ze swobodą i wdziękiem baletnicy. Dymitr śmiał się radośnie, lecz nie wyglądał na zaskoczono. Musiał znać możliwości siostry, jej jeździecki kunszt.

— Ja zwariuję — stęknął Jupe. — Czegoś takiego w życiu nie widziałem...

— Chyba że w cyrku — zakpił Pete.

Jupe szybko spojrzał na niego. Zmarszczył czoło na moment i pokręcił głową, jak to miał w zwyczaju, gdy coś z czymś próbował skojarzyć. A Noemi właśnie kończyła popis: zatrzymała ogiera w miejscu, kilka metrów od brata, skłoniła mu się i zeskoczyła z siodła.

Nieudolnie. Ostroga zaczepiła o strzemię. Ogier wyczuł błąd człowieka i szarpnął się, stanął dęba. Dziewczyna bezradnie zawisała w powietrzu, głową w dół.

Jupiter chciał rzucić się na pomoc, ale Pete był szybszy: w ułamku chwili znalazł się przy koniu. Chwycił za uzdę przy spienionym pysku. Ogier spokorniał. Mocne szarpnięcie i osadzone w miejscu zwierzę pozwoliło dziewczynie wyswobodzić nogę ze strzemia.

Wstała, trochę oszołomiona.

— Nic ci się nie stało? — zapytał Pete.

Jupe wyobraził sobie, że to on żelaznym chwytem okiełznał zwierzę i ocalił Noemi przed niebezpiecznym wleczeniem po murawie. To on pomógł jej wyswobodzić nogę i wstać z ziemi. On pyta ciepło, czy nic jej nie jest, a ona uśmiecha się do niego, patrzy mu w oczy z wdzięcznością i ta wdzięczność powoli przeradza się w coś innego, co trudno nazwać, ale co łączy i zbliża dwoje ludzi. Ech, życie! Dlaczego w takich sytuacjach Pete zawsze jest szybszy, a on, Jupiter Jones, nie cierpi się gimnastykować i odmawiać sobie ekstra porcyjki zapiekanki SADKO?

— Dziękuję, nic mi nie jest — doleciał go dziewczęcy głos z obcym, nieco gardłowym akcentem. — Koń przestraszył się. Mógł mi zrobić krzywdę. Masz refleks!

— Pete Crenshaw — przedstawił się Pete i wskazał na kolegę: — A to mój przyjaciel, Jupiter Jones.

Jupe już był przy nich. Uścisnął kruchą i trochę wilgotną dłoń kruczowłosej.

— Jesteś fantastyczna — powiedział i zdziwił się, że głos z lekka mu drży. — Chwilami bałem się, że odleczysz w niebo.

Noemi zaśmiała się. W uśmiechu jej twarz traciła dzikość i stawała się jeszcze ładniejsza.

— Wprawa. Od dziecka jeżdżę konno. Lubię poszaleć w siodle. A mój braciszek lubi na to patrzeć — wskazała na Dymitra, który nie ruszył się z ławki, przygwożdżony ciężką łapą ochroniarza; patrzył tylko na siostrę, w oczach miał jeszcze lęk. — Nazywam się Noemi. Lubicie konie?

Pete chciał odpowiedzieć, ale Jupe go ubiegł:

— Przepadamy za końmi, ale z jeźdźnictwem krucho. Nasz przyjaciel jest w tym dobry. Będzie tu jutro... ze mną. Padnie, gdy cię zobaczy w siodle. Może udzielisz mu lekcji.

Noemi znowu się roześmiała.

— Wkrótce wyjeżdżamy. Jesteśmy z daleka...

— Skąd? — zapytał szybko Jupe. — Bo my przyjechaliliśmy z Rocky Beach, to takie miasteczko w pobliżu Los Angeles.

— A my... zza oceanu. — Noemi przestała się uśmiechać. — Ale jutro tu będę. Do zobaczenia.

Dosiadła ogiera i ruszyła stępa w kierunku stajni. Jej brat zamknął oczy, jakby się obawiał, że ci dwaj obcy zechcą teraz jego wciągnąć do rozmowy. Za to ochroniarz zrobił się czujny: zdjął okulary słoneczne i przyglądał się chłopcom z wrogą podejrzliwością, niechętnie.

Ruszyli w stronę parkingu.

— Chcesz napuścić na nią Boba? — zapytał Pete, rozsiadając się za kółkiem kanarkowego bolidu.

— Napuściłbym siebie, ale boję się koni — wyznał Jupe. — Bob trochę jeździ, jego wuj ma stadninę. Będę tu z nim.

— Całkowicie służbowo? — spytał Pete ze znaczącym uśmiechem.

Jupiter nie odpowiedział. Chyba po raz pierwszy zdarzyło mu się, że nie potrafił odpędzić zbędnych myśli, aby myśleć o najważniejszym. Zbędne myśli krążyły wokół kruzowłosej — nieustępliwie natrętne i bardzo przyjemne. Czy mu się tylko zdawało, że Noemi spojrzała na niego z zainteresowaniem?

Postanowił nie jeść dzisiaj obiadu.

Potrwało trochę, nim Bob Andrews poczuł się wśród nowoczesnej aparatury jak u siebie w domu. Ale w końcu się poczuł. Kiedy to nastąpiło, internetową ścieżką szybko dotarł do Rumunii, a tam do kilku związków, sekt i stowarzyszeń związanych z astrologią, z okultyzmem, z parapsychologią.

Nikt nie słyszał o Rafaelu Di Morte. Legendarny książę Drakula, rodem z Transylwanii, nie miał potomstwa ani krewnych i nie wiadomo, czy w ogóle istniał.

Gdy palce Boba zdążyły już zdrętwieć od tańca na klawiaturze komputerowej, w okienku monitora pojawiła się Rumuńska Konfraternia Jasnowidzów. Bob połączył się z Sekretarzem Generalnym Konfraterni, niejakim Ilie Iliescu. Na ekranie zobaczył wąsatą twarz starca z wytrzeszczonymi oczami.

— Czy wśród waszych członków figuruje pan Rafael Di Morte? — wystukał Bob.

— Nie figuruje i nigdy nie figurował — nadeszła kategoryczna odpowiedź.

Na tym Bob Andrews mógłby zakończyć internetowy dialog z Ilie Iliescu, ale podkusiło go, by zadać jeszcze parę pytań.

— Czym się zajmujecie? — zapytał.

— Jasnowidzeniem.

— Co nas czeka, według rumuńskich jasnowidzów?

— Rychły koniec świata.

— Kiedy?

Odpowiedź długo nie nadchodziła. Wreszcie nadeszła:

— Między 23 maja roku 2000 i 5 października 2000. Zdania jasnowidzów są podzielone. Na razie nie powiodła się próba uzgodnienia proroczych wizji. Prace trwają.

W tym momencie Bobowi nasunęło się najważniejsze pytanie.

— Czy wśród rumuńskich jasnowidzów jest ktoś, kto umie odgadywać numery tolotka albo loterii, liczbę, na którą padnie wygrana w ruletce? — wystukał z bijącym sercem.

— To by nie licowało z godnością jasnowidza — odpowiedział pan Ilie Iliescu.

— Bylibyśmy bogaci, a jesteśmy biedni. Nie znam takiego przypadku. Dwa lata temu poprosiliśmy Amerykańskie Bractwo Jasnowidzów o wsparcie materialne dla naszej organizacji i dotąd nie nadeszła odpowiedź. Niniejszym ponawiam nasz apel.

Bob przerwał połączenie. Przykro mu było tłumaczyć, że nie należy do Amerykańskiego Bractwa Jasnowidzów i że w ogóle o takim nie słyszał. Uświadomił sobie oczywistość: jasnowidzenie dotyczy spraw wielkich, a nie jakichś cyfr w ruletce. Inaczej jasnowidze mieliby wszystko, a reszta nic.

— W Rumunii nikt nie słyszał o panu Di Morte — poinformował Juve'a i Pete'a, którzy właśnie weszli. — Ani o kimś, kto przewidywałby wygrane.

— Spodziewałem się tego — powiedział Jupiter Jones.

ROZDZIAŁ 3

Kolejny cud mistrza Di Morte

Jupiter i Bob, obaj w ciemnych wieczorowych ubraniach, zakupionych na koszt hotelu „Princess” (w innych nie wchodzi się do salonów kasyna, z wyjątkiem sali automatów), stali z boku, popijając sok migdałowo-pomarańczowy i obserwując graczy przy rulecie. Aron Stock prezentował im szeptem stałych bywalców: niemieckiego barona z monoklem w oku, który co roku o tej samej porze przylatuje spod Frankfurtu do Las Vegas i odlatuje po tygodniu, uboższy o kolejną posiadłość; madame Lipshitz z Nowego Jorku, przepuszczając tu wielkimi porcjami fortunę swego męża-bankiera, który nie ma nic przeciwko temu, bo bardziej sobie ceni spokój w domu niż pieniądze; dwóch nafciarzy z Teksasu, multimilionera z Arabii Saudyjskiej, hrabinę Elisabeth von Berger z Nicei, byłego pastora z Waszyngtonu, modelkę Diora, profesora Hunter College incognito — ten dostojny lingwista, o którym nikt tu nie wie, że nazywa się Alex E. Xander i jest autorem wielu uczonych publikacji, przepuścił już w kasynie hotelu „Princess” sześć nowojorskich kamienic odziedziczonych po rodzicach i została mu tylko jedna do przegrania.

— Skąd pan wie to wszystko? — zapytał Bob.

— Taki fach — uśmiechnął się Aron Stock. — Tam, gdzie gra się na pieniądze, trzeba być psychologiem i szpiclem.

— A tamta pani?

— Turystka. Przegra dziesięć tysięcy dolarów zaoszczędzonych przez długie pracowite życie i nie pokaże się tu więcej. Będzie miała co opowiadać wnukom. Podobnie jak tamci dwaj prowincjonalni handlowcy w smokingach z wypożyczalni ubrań: jeszcze nie wiedzą, że tutaj można tylko przegrać. Wygrany zawsze gra dalej, aż się splucze do suchej nitki. Wygrywa jedynie kasyno. Inaczej na świecie nie byłoby kasyn.

Jupiter Jones dyskretnie wskazał palcem wysokiego mężczyznę o sympatycznej, grubo ciosanej twarzy, który z uporem obstawiał czerwony kolor i nieustannie przegrywał. Czerwony wychodził tylko wtedy, gdy olbrzym przerywał grę, aby wypić kieliszek czystej wódki. Tartinek, roznoszonych na srebrnych tacach przez hostessy, nie tknął ani razu.

— Turysta, pierwszy raz tutaj — skwitował Stock. — Chyba Rosjanin, bo nie zakąsza. Sporo ich się wzbogaciło w ostatnich latach, a hazard kochają jak własne dziecko. Zbliża się północ, wkrótce powinien nadejść nasz jasnowidz.

Rzeczywiście nadszedł: ubrany na czarno, na grubym łańcuchu amulet w kształcie węża, który mierzył mu w serce. Krogulczy nos, zaciśnięte usta, głębokie oczodoły, a w nich gorejące źrenice, nieruchomo utkwione przed siebie. Czarne loki opadające na wysokie blade czoło.

Gracze rozstąpili się, robiąc mu miejsce przy rulecie. Niespiesznie sięgnął po sztony, małą garstkę postawił na czarny kolor. Ruleta zawirowała. Przegrał. Kolejną garstką sztonów obstawił czerwień i tym razem wygrał. Nawet tego nie zauważył — obojętny, wyniosły, tajemniczy. Grał dalej, rzucając na stół po kilka sztonów.

Jupiter i Bob wolniutko zbliżyli się do rulety, stając tuż za plecami Rafaela Di Morte. Jupe'owi wydało się, że czuje słodkawy zapach kadzidła. Z bliska twarz Di Morte była jak z pergaminu, przypominała maskę. Bob Andrews zrobił pół kroku do tyłu: ogarzał go nagle dziwny niepokój, może nawet lęk, którego nie umiał sobie objaśnić. Obserwowanie Di Morte wymagało przełamывania coraz większego oporu, sprawiało nieomal ból.

Aron Stock pozostał na miejscu, w rogu sali, mając na oku wszystkich gości. To należało do jego obowiązków. Był już teraz zadowolony, że dyrektor Collins scedował sprawę Di Morte na trójkę chłopców z prowincji — baba z wozu, koniom lżej. Wolałby jednak nie oglądać więcej cudu z jasnowidzeniem. Gdzie znajdzie równie dobrą pracę, jeżeli kasyno zbankrutuje?

Jupe stał teraz tak blisko Rafaela Di Morte, że słyszał jego równy, głęboki oddech i szelest czarnego jedwabiu, gdy mag wykonywał ruchy ramieniem, przesuwając sztony. Grał tak samo jak wszyscy, ale bez śladu emocji. Nie dostrzegał niemych spojrzeń, którymi go obrzucano w nadziei, że dostrzeże, zwróci uwagę i wskaże, kiedy nadejdzie wielka chwila.

Nadeszła. W progu sali zatrzymał się Dymitr: nienormalnie szczupły, żółtawy na twarzy, wyglądający we fraku jak straszyletko. Jupe zauważył, że tuż przedtem Di Morte zerknął na zegarek. Odwrócił się do syna — dokładnie w tym momencie, gdy ten stanął w progu.

Wstał od stołu.

Wszyscy zamarli.

Di Morte podszedł do chłopca i objął go ramieniem. Korytarzem, który utworzyli gracze, obaj ruszyli wolniutko w stronę rulety. Zatrzymali się kilka kroków od niej.

— Rozejrzyj się, synu — powiedział cichutko Di Morte. — Kogo mi wskażesz?

Jupe stał obok Dymitra, lecz ten go nie poznawał. Spojrzał obojętnie, wzrokiem przeslizgnął się po innych twarzach, nie dostrzegając błagalnych spojrzeń, przymilnych uśmiechów. Miał ślepe oczy. Gdyby nie wydarzenia w klubie jeździeckim, Jupiter mógłby pomyśleć, że chłopiec jest niewidomy.

Di Morte pochylił się do niego. Jupe wyteżył słuch. Nic nie usłyszał, stojąc o krok od nich. Byłby gotów przysiąc, że Dymitr nie wyszeptał ani słówka.

— Dziękuję, synku. — Di Morte musnął wargami czoło Dymitra i rozejrzał się po obecnych, wolniuteńko unosząc ramię.

Gracze wstrzymali oddech. Aron Stock wściekle zacisnął pięści: jeśli i tym razem...

Wskazujący palec Di Morte zatrzymał się na wysokim mężczyźnie, którego Stock uznał za Rosjanina.

— Syn wybrał pana — rozległ się głos zabarwiony obcym akcentem. — Proszę postawić wszystko, co pan posiada, na dowolny numer.

Jupiter Jones zamienił się w najczulszy przyrząd, wychwytyjący każdy ruch, każdy szmer, każde drgnienie. Miał ów rzadki dar wyostrzania zmysłów w chwilach szczególnych, gdy ma nastąpić coś bardzo ważnego. Zarazem myślał intensywnie, szukając skojarzeń. Dlaczego właśnie ten gość, a nie inny? Dlaczego, będąc tu po raz pierwszy, gotów jest tak ryzykować na wezwanie obcego? Dlaczego numer ma być dowolny, wedle uznania gracza, a nie konkretna liczba, podyktowana przez Di Morte? To przecież byłoby prostsze. Ale i tak nie do wytłumaczenia.

Nic się z niczym nie kojarzyło.

Wysoki mężczyzna zaczął wyciągać z kieszeni rolki sztonów. Miał ich przy sobie bardzo dużo. Aron Stock po kolorze rolek rozpoznał, że to najwyższe nominały: w zielony papier owijano sztony o wartości dziesięciu tysięcy dolarów. Zaklął w duchu.

Wysoki mężczyzna odczekał do ostatniej sekundy i swój majątek postawił na siódemkę. Ruleta już wirowała.

Jupiter Jones wpił się wzrokiem w Dymitra. Chłopiec był nieprzytomny, wyprężony jak struna. Nie oddychał.

Jego ojciec uśmiechał się leciuteńko.

Ruleta zwolniła.

Kulka stanęła w przegródce numer siedem.

Jupe dostrzegł, jak Di Morte końcami palców muska dłoń syna. Dymitr otworzył oczy, odetchnął głęboko. Na sali wciąż panowała martwa cisza.

— Dobranoc, synku — powiedział cicho Di Morte. — Wracaj do domu.

Wysoki mężczyzna rozdarł ciszę dzikim okrzykiem radości i skoczył do góry wymachując rękami. Bełkotał coś w niezrozumiałym dla obecnych języku, ale nie miało znaczenia, co wykrzykuje. Krzyczeli wszyscy. Tylko krupier stał z rozdziawioną gębą i Aron Stock z poszarzałą twarzą — jakby zobaczył upiora.

Dymitr opuścił już salę. Di Morte sięgnął po szklankę soku, wypił powoli i też wyszedł, nie czekając na podziękowania wybrańca losu.

— Nie było żadnego triku. — Bob sapał prosto w ucho Jupitera. Dam sobie głowę uciąć...

— Był — mruknął Jupe.

— Jaki? — Bob Andrews wybałuszył oczy, omal nie wyskoczyły mu z orbit.

— Zauważyłeś coś?

— Musiał być — powiedział z przekonaniem Jupiter Jones. — I my to odkrywamy.

Jeszcze tego wieczoru Aron Stock poinformował Jupitera, że wygrany nazywa się Nikita Pietroff i jest Rosjaninem. Przy tak wielkich wypłatach gości się legitymuje. Rosyjski paszport, przedstawicielstwo moskiewskiej firmy „WOSTOK” na Amerykę. Żadnych widocznych powiązań Rosjanina z Di Morte. Kolejna katastrofa dla przedsiębiorstwa.

Bert Collins przyjął pana Di Morte z honorami. Elegancki kelner przyniósł do gabinetu najlepszy francuski koniak, kawę, ciasteczka. W świetle dnia Rafael Di Morte nie wyglądał demonicznie: śniada cera, gładko wygolone policzki, jasny, nieskazitelnie skrojony garnitur. Odmówił kieliszka „Remy Martin” — nie pija alkoholu. Zamiast kawy wolałby wodę mineralną.

— Jest pan sensacją naszego kasyna — powiedział Collins. — Dzięki pańskiej obecności liczba gości się potroiła. W Las Vegas krążą o panu legendy.

— Miło mi — odparł uprzejmie Di Morte z kamiennym wyrazem twarzy.

— Przyjechał pan do nas z Rumunii?

— Pochodzę z Rumunii.

— Piękny kraj — powiedział Bert Collins, choć o Rumunii nie miał zielonego pojęcia, wiedział tylko, że leży gdzieś w Europie. — Zwłaszcza Transylwania. Ludzie mówią, że jest pan w prostej linii potomkiem tamtejszego księcia, jeśli mnie pamięć nie myli, słynnego Drakuli, mistrza czarnej magii wszechczasów.

— I wampira — dodał Di Morte z uśmiechem. — Zapewniam pana jednak, że nie jestem wampirem, a księżę Drakula to twór literacki.

— Możliwe — zgodził się Collins. — Jest pan wszelako człowiekiem niezwykłym i do tego bezinteresownym. Co drugą lub trzecią noc uszczęśliwia pan któregoś z naszych gości... — Zrobił pauzę. — I unieszczęśliwia kasyno.

— Czy jest to niezgodne z prawem? — zapytał chłodno Di Morte.

— Na razie nie rozmawiamy o prawie. Zapytam wprost: jak pan to robi? Skąd zna pan numer, na który padnie wielka wygrana?

— Nie znam numeru. — Rafael Di Morte pociągnął łyk wody mineralnej z kryształowej szklanki. — Wybiera go gracz. Ja wskazuję tylko wybrańca fortuny. Zresztą, nie ja, lecz mój syn, który ma fenomenalną intuicję. Przeczuwa, kto tej nocy musi wygrać.

— Dyrekcja kasyna ma do pana serdeczną prośbę — powiedział Bert Collins. — Bylibyśmy zobowiązani, gdyby pański syn więcej nie pojawiał się u nas.

Di Morte popatrzył na Collinsa z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Potem uśmiechnął się leciutko.

— Jesteście wzorem demokratycznego państwa. Wasze prawo nie dopuszcza dyskryminacji.

— Dlatego zaprosiłem pana do siebie — powiedział Collins. — Załatwmy sprawę polubownie. Ile?

Rafael Di Morte nie przestawał się uśmiechać. W jego przepastnych hipnotycznych oczach jarzyły się figlarne ogniki.

— Nie interesują nas pieniądze, panie Collins. Wypełniamy misję, która polega na uszczęśliwianiu ludzi. Jednym dajemy szczęście, innym nadzieję. Uważam, że to szlachetna misja, i nie odstąpię od niej.

Jupiter Jones nie odrywał oczu od monitora, który przekazywał do apartamentu Trzech Detektywów obraz i dźwięk z dyrektorskiego gabinetu. Zauważył, że Collins traci panowanie nad sobą.

— Woli pan wojnę? W takim razie uprzedzam, że jesteśmy już na tropie waszego szwindlu. Nie wierzę w cuda. Zgnijesz w kryminale, Di Morte!

Utraty panowania Jupe nie przewidział. Wedle planu Collins miał wyciągnąć od Di Morte jak najwięcej informacji. Nie zadał nawet połowy pytań, które mu przygotował Jupiter.

Di Morte wstał. Jego oczy utraciły figlarny blask, były teraz zimne, jak ze stali.

— W państwie prawa groźby są karalne — powiedział sucho. — To ja ostrzegam pana. Umiemy przewidywać nie tylko czyjeś szczęście, także nieszczęścia. Na pańskim miejscu bałbym się o los hotelu „Princess”. I o własny.

Bez pożegnania opuścił gabinet.

Koń był z lekka narowisty i Bob nie czuł się na nim zbyt pewnie, ale musiał sprostać zadaniu, jakie wyznaczył mu Jupe. Wykonał kilka rund, przemierzając leśne aleje, parowy i wzgórza, omijając przeszkody dla bardziej wytrawnych jeźdźców. Gdy wrócił na polanę, Jupiter rozmawiał z kruczowłosą dziewczyną w opiętym stroju jeździeckim, podkreślającym kocią smukłość sylwetki, której mogłaby pozazdrościć paryska modelka. Dziewczyna przytrzymała za uzdę czarnego ogiera. Musiała to być Noemi. Obok, w towarzystwie kwadratowego osiłka-ochroniarza, siedział na ławeczce jej brat.

— A oto mój przyjaciel. Bob Andrews. Marzył, żeby cię poznać, gdy mu opowiedziałem, jaka z ciebie mistrzyni.

Bob zsiadł z konia, zbliżył się i zaniemówił. Nie mógł oderwać oczu od dziewczyny. Ściskając jej kruchą dłoń chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Tu nie chodziło o urodę. Bob widywał ładniejsze dziewczęta. Z twarzy Noemi, z jej wielkich zielonkawych oczu w oprawie długich, ciemnych, wywiniętych ku górze rzęs promieniowała jakaś energia, która osuszała mu gardło, paraliżowała ruchy, mąciła umysł. Podobno istnieją ludzie przeznaczeni dla siebie. Jeśli los ich zetknie, zachodzi

niepojęte zjawisko, nazywane przez poetów miłością od pierwszego wejrzenia. Bob słyszał o tym, ale nie wierzył w to. Teraz, wpatrzony w oczy Noemi, w jej rozchylone pełne usta, doznawał pomieszania uczuć, jakby go ogłuszono bezbolesnym ciosem. Do licha, co się dzieje? Dlaczego tak mu wali serce, dlaczego do końca świata chciałby ścisnąć w dłoni jej delikatne palce, uszczęśliwiony ich ciepłem?

Gapił się na dziewczynę jak wół na malowane wrota.

— Zdaje się, że wpadłaś w oko Bobowi — zburzył ciszę głos Jupitera. — Jeszcze go nie widziałem takim. Bob, przywitaj się z Noemi.

Bob wytrzeźwiał, zerknął na przyjaciela. Zdziwił go gorzki, trochę smutny uśmiešek. Uznał, że mu się przywidziało.

— Cześć, Noemi — powiedział z wdziękiem, jak to on: niebieskooki, jasnowłosy przystojniak, przedmiot westchnień dziewczyn w Rocky Beach. — Słyszałem, że wspólnie jeździsz. Ćwiczyłaś woltyżerkę?

Teraz zaskoczył go cień, jaki przemknął po twarzy Noemi. Gościł na niej przez ułamek chwili.

— Co ty. Amatorszczyzna. Przelecimy się?

Dosiedli koni, pomknęli. Bob oczekiwał popisów, lecz się nie doczekał. Tyle, że świetnie trzymała się w siodle, a ogier był jej posłuszny jak przedszkolak. Pościgali się — Bob został daleko w tyle. Dogonił ją dopiero na łączce opiętej wianuszkami starych drzew: zdążyła już zsiąść, chusteczką ocierała spieniony pysk zwierzęcia.

Przebiegły plan rozmowy, obmyślony przez Jupitera, jakoś uleciał mu z głowy. Z tą dziewczyną nie potrafił grać.

— Jesteś córką pana Di Morte — powiedział. — Wczoraj w kasynie widziałem twojego brata i ojca. To, co robią, uważa się za cud. Pana Di Morte nazywają w kasynie Władcą Fortuny.

Przestraszył go wyraz jej oczu. Zrobiły się mroczne, dzikie. Wargi wykrzywił grymas.

— Czego chcesz?

— Przepraszam... — wybąkał Bob, wściekły na siebie, że zapomniał o radach Jupitera. — Możemy o tym nie mówić. Ja, po prostu...

— Mnie w to nie mieszaj — usłyszał. I, po pauzie: — Chciałabym być już w domu. Jak najdalej stąd. Nienawidzę Las Vegas. Gdyby nie Dymitr... — urwała.

— Wygląda na chorego — powiedział ostrożnie Bob.

— On też wolałby być w Bukareszcie. Czuje się źle, coraz gorzej.

— Może trzeba z nim pójść do lekarza?

— Do lekarza? — Noemi zaśmiała się chrapliwie, krótko. — Ośłupiałby... Ale nie długo wrócimy do domu. Di Morte nam to przyrzekł. Już za kilka dni.

— Czy w tym waszym Bukareszcie dużo jest takich cudownych dziewcząt? — zapytał Bob, czując, że się rumieni. Tekst był wyświechtany, z repertuaru tanich podrywaczy na plażach w Rocky Beach.

Noemi też się zarumieniła.

— Przyjeźdź, to zobaczysz — odparła, z lekkością piórka wskakując na siodło.

— Gdzie tam cię znajdę?

Nie odpowiedziała. Ogier zerwał się do galopu. Gdy Bob Andrews, parę minut później, znalazł się na polanie, nie było tam już ani Noemi, ani jej brata z ochroniarzem. Jupiter czekał na niego, nerwowo pogryzając gryłażowy batonik. Chyba był wściekły.

— Coś ty z nią robił? — rzucił ponuro. — Nie jesteśmy tutaj, żeby romansować!

— Zwariowałeś? — Bob pojął nagle, że irytacja przyjaciela nie jest przypadkowa: jemu też musiała wpaść w oko kruczowłosa dzikuska i jest najbanalniej zazdrosny. — Wykonywałem zadanie. Rozmawialiśmy.

— To dlaczego natychmiast się stąd wynieśli? Wyglądała na roztrzęsioną. Szepnęła coś Dymitrowi i ochroniarz zaraz ich zabrał do samochodu.

— Chyba uświadomiła sobie, że powiedziała mi za dużo — odparł po pauzie Bob Andrews. — A ja sobie uświadomiłem, że mój przyjaciel ma sercowy problem.

— Osioł!

— Już nie Jupiter?

Jupe nie zdzierzył, parsknął śmiechem. Bob też. Pod nieobecność Noemi obaj znormalnieli.

— Owszem, podoba mi się — wyznał Jupe. — Nigdy nie rozumiem, dlaczego kobiety przywiązują większą wagę do objętości i kształtów niż do walorów umysłu.

— Nie wszystkie — pocieszył go Bob. — Ostatnio zeszczuplałeś.

— Ale większość. — Jupe puścił mimo uszu fałszywy komplement przyjaciela. — Bo są próżne.

— Na pewno — przytaknął Bob.

— Żadne „na pewno” — zirytował się Jupiter Jones. — One cenią męską siłę charakteru. A ja nie mogę powstrzymać się od tego obrzydlistwa.

I z gniewem cisnął o ziemię nie dojezdzonego balonik.

ROZDZIAŁ 4

Dom nawiedzony

Kanarkowa corvetta parkowała przed motelem „Holiday Inn”, wzbudzając ciekawość okolicznych dzieciaków. Zaglądano przez szyby, próbując odczytać najwyższe wskazanie szybkościomierza. „Dwieście pięćdziesiąt mil!” „E, tyle nie wyciągnie...” „Patrz, komputer!”

Pete Crenshaw uciał sobie pogawędkę z recepcjonistą. Pryszczaty chłopak w sele-dynowym uniformie był jego rówieśnikiem i wyglądał na znudzonego. Właśnie skończył się mecz rugby, w telewizorku śmigały reklamy. Reklam każdy ma dość.

— To ten Nikita Pietroff dzisiaj się wyprowadził? — Pete wyglądał na zmartwionego. — Mam przesyłkę dla jego firmy. „WOSTOK”, zgadza się?

— A bo ja wiem — pryszczaty wzruszył ramionami.

— Wyjechał czy zmienił hotel?

— A bo ja wiem? — Tym razem pryszczaty ziewnął i poskrobał się po nosie. — Zapłacił za jedną noc, ale i tej nie przespał. Wczorajem wyszedł, wrócił nad ranem, zabrał walizkę i cześć.

— Dużo macie takich gości?

— To jest Las Vegas. Niektórym starcza kasy tylko na jedną noc hazardu.

— No właśnie — przytaknął Pete i wyjął z kieszeni karteczkę. — Mamy kilka takich nie doręczonych przesyłek. Ci ludzie też zatrzymywali się u was ostatnio. Może któryś zostawił adres. Sprawdziłbyś?

Na kartce miał nazwiska czterech osób, którym Di Morte zafundował wielkie wygrane. Podał mu je Aron Stock.

— Informacji w zasadzie nie udzielamy...

„W zasadzie” kosztowało Pete’a dziesięć dolarów. Podyktował recepcjoniście nazwiska: Aldo Aurelio, przedtem Vera von Klang, Mychajlo Rezun, Leo Baretta. Pryszczaty sprawdzał w księdze gości.

Klang, Baretta i Rezun spędzili w motelu „Holiday Inn” po jednej nocy. Były to noce ich wielkich wygranych. Potem znikali. Nikt nie zostawił adresu.

Przypadkowa zbieżność?

Co podejrzewał Jupiter, każąc to sprawdzić Pete'owi?

Miał nosa.

Coś łączy wybrańców losu z kasyna „Princess”: jedna noc w tym samym podmiejskim motelu.

Kelner wtoczył do apartamentu wózek z przysmakami. Zapachniało pieczenia. Pod srebrzystą pokrywą leżały trzy ogromne steki z najlepszej argentyńskiej wołowiny, a obok sałata coleslaw doprawiona aromatycznym majonezem i pieczone ziemniaki z masłem czosnkowym, owinięte w folię.

Jupiter popatrzył na Boba i wyobraził sobie półmisek słomy polanej dziegciem.

— Nie będę jadł — rzucił przez zaciśnięte zęby. — Mdli mnie na widok mięsa. Ale wy się nie krępujcie.

Nie krępowali się: Pete, po godzinie joggingu, miał wilczy apetyt, a Bob mu w tym względzie nie ustępował, zaliczywszy konna przejażdżkę. Trzecim stekiem podzielili się po połowie.

Jupe odwrócił się do nich plecami i patrzył przez panoramiczną szybę na dachy wieżowców przyozdobione zielenią. Na niektórych były prawdziwe ogrody z willami pośrodku — penthousy multimilionerów.

— No to wiemy, że rodzina Di Morte mieszka w Bukareszcie — powiedział nie odrywając oczu od szyby, bo Pete i Bob nie skończyli jeszcze ucztować. — I że część „wybrańców losu” spędzała noc w tym samym motelu. Przypadek?

— Chyba wiemy coś jeszcze — dobiegł go głos Boba. — Mam wrażenie, że Di Morte nie jest ojcem Noemi. Mówiąc o nim, użyła nazwiska. Teraz sobie przypomniałem.

Jupiter Jones zapomniał o jedzeniu. Odwrócił się szybko.

— Nie nazywa go ojcem?

— Powiedziała: „Di Morte przyrzekł, że za kilka dni wyjedziemy”. I że lekarz osłupiałby, gdyby zbadał jej brata.

— Tajemnica tkwi w Dymitrze — odezwał się po pauzie Jupe. — To dziwny chłopak. Kiedy ty flirtowałeś z Noemi...

Co nazywasz flirtem? — obruszył się Bob Andrews.

— ...ja próbowałem z nim pogadać — ciągnął Jupe jakby nigdy nic. — Nie odezwał się ani słówkiem. Chciałem usiąść obok niego, ale ochroniarz mi nie pozwolił. Bardzo gwałtownie zareagował. Co by się mogło stać, gdybym usiadł przy nich na ławce?

— Pewnie by mogło — powiedział Pete Crenshaw. — Warto nad tym pogłówekować.

— Właśnie główkuję — mruknął Jupiter. — Jak na razie, żadnego pomysłu.

Pete i Bob dojedli deser, ciasto ze śliwkami. Jupe odetchnął z ulgą. Pobjawisko na tacy już nie wzbudzało napływu ślinki do ust.

— Nawiązałem przez internet łączność z Amerykańskim Bractwem Jasnowidzów — poinformował Bob, wycierając usta serwetką. — Mają wykaz największych sław światowych, też nie słyszeli o Di Morte. Ale tu, w Las Vegas, mieszka jeden z ich członków, Abel Capricorn. Zdobyłem adres.

— Dobra robota — pochwalił Jupe. — Porozmawiamy z nim. I spróbujemy zbadać, czy „wybrańców losu” z woli naszego Władcy Fortuny łączy coś więcej niż noc w „Holiday Inn”. Na razie mnie i Pete’a czeka jednak inne zadanie.

Kanarkowa corvetta wydostała się z karuzeli roziskrzonych reklamowych świateł centrum Las Vegas i zapadła w zwyczajną prowincjonalną rozgwieżdżoną noc przedmieść. Rzadkie latarnie rozświetlały podjazdy jednorodzinnych domów z ogródkami, na których drzemały krążowniki szos, motocykle, rowery. Mieszkańcy Las Vegas już spali; nazajutrz czekał ich zwykły pracowity dzień, nie mający żadnego związku z dzielnicą hazardowych szaleństw, żyjącą w odwróconym rytmie dnia i nocy.

Skończyły się uliczki. Corvetta mijala teraz jakieś skwery, pustkowia, kompleksy fabryczne, potem był lasek i na końcu zalesione wzgórze, otoczone wysokim mурowanym ogrodzeniem. Nad murem czerniała gęsta chmura drzew. Gdzieś pośród nich wznosił się, niewidzialny w mroku bezksiężycowej nocy, posępny stary dom Rafaela Di Morte.

Dwie latarnie oświetlały ozdobną kratę bramy wjazdowej do posiadłości, strzeżonej przez wartownika w budce. Brama była zamknięta. Di Morte wraz z Dymitrem i Noemi znajdowali się teraz w kasynie. Potwierdził to chwilę temu przez komórkowy telefon Aron Stock. Przyrzekł, że tą samą drogą zawiadomi ich, gdy Di Morte zacznie się szykować do wyjścia. Na pewno nie nastąpi to wcześniej niż za parę godzin, mają więc sporo czasu.

Pete zaparkował bolidu w parkingowej zatoczce obok przystanku autobusu, kilkaset metrów od posiadłości. Dalej poszli pieszo.

Ruszyli wzdłuż muru, w kierunku przeciwnym do bramy. Tak, jak na to liczyli, trafili wkrótce na wyłom — pionowe pęknięcie, dostatecznie szerokie, aby się przez nie przecisnąć.

— Mam nadzieję, że nie trzymają tu psów — szepnął Pete; nie był tchórzem, ale ostrożność jest sztuką przewidywania, a detektyw musi być przewidujący. Tak to tłumaczył, gdy Jupe i Bob próbowali z niego pokpiwać.

— Stock by nas ostrzegł — zapewnił także szeptem Jupe i pierwszy przepchnął się przez szczelinę w murze.

Ogród był dziki, przypominał zatopioną dżunglę. Szli na wycucie, przedzierając się przez kłującą gęstwinę krzewów, w kompletnej ciszy, od której dzwoniło w uszach. Wkrótce okazało się, że wybrali właściwy kierunek: gąszcz przerzedził się, z mroku wypłynęła dziwaczna bryła domostwa najeżona wieżyczkami, opleciona siecią powyginanych, przegniłych balustrad.

W żadnym z okien nie paliło się światło.

Stąpając bezszelestnie, obeszli dom dookoła. W końcu znaleźli to, czego szukali — nie domknięte, bo wypaczone ze starości, balkonowe drzwi na tarasie.

Weszli przez nie do środka.

Pierwsze, co obaj poczuli, wyplątując się z zakurzonej ciężkiej kotary osłaniającej drzwi, to był śwąd: pachniało słodkawym dymem, jakby gdzieś w pobliżu tliły się mokre liście jakiejś nieznanej rośliny.

— Kadzidło... — szepnął Jupe.

— Albo siarka... — Pete przypomniał sobie, że w piekielnych czeluściach, wedle świadków z drugiej ręki, unosi się siarczany odór. Poczł dreszczyk niepokoju. Po chwili wydało mu się, że czuje fetor zgnilizny, trupi smród.

Jupe trącił go w ramię.

— Idziemy.

Prześli zagracony hall, potem salonik z meblami w białych pokrowcach. Słodkawy śwąd wypełniał kolejne pomieszczenia, jakby im towarzyszył. Przyświecając sobie ocienionymi latarkami, weszli do pokoju, który zapewne należał do Noemi: bukiet kwiatów w wazonie na stoliku, kilka dziewczęcych ciuchów na oparciu krzesła, toaletka ze słoikiem kremu i szczotką do włosów. Jupe skierował słabe światło latarki na komódę. Podszedł bliżej i przez długą chwilę przyglądał się kilku fotografiom w metalowych ramkach. Dwie przedstawiały Noemi i Dymitra, jakby w karnawałowych strojach, uśmiechniętych, machających komuś, może fotografowi. Na trzecim był koń z rozdętymi chrapami, bardzo piękny, w czapraku ozdobionym strusimi piórami.

Jupe zaczął rozglądać się za jakimiś notatkami, listami, dziewczęcym pamiętnikiem. Niczego takiego nie znalazł.

Pete był już w sąsiednim pokoju, chyba sypialni Dymitra: rozbebeszone łóżko, flanelowa piżama na kołdrze, na szafce przy łóżku flakoniki z lekarstwami. Po chwili do Pete'a dołączył Jupe. Jego zaciekawił stół z resztkami jedzenia na plastikowym talerzu i para używanych, też plastikowych sztućców. Obejrzał je uważnie, potem zaczął myśkować po pokoju, zaglądając do szafy, pod łóżko, do pary szuflad w komódce.

— Nic cię tu nie dziwi? — zapytał Pete'a ścisłym głosem.

Pete uniósł brwi i przecząco poruszył głowę. Nic nadzwyczajnego. Bałagan. Mało który chłopak dba o porządek w swoim pokoju. Lekarstwa? Także nic szczególnego. Witaminy, zioła. Jakaś książka z obrazkami, w nieznanym, pewnie rumuńskim języku.

Wrócili do hallu. Dopiero teraz, za ciężką pluszową kotarą, Jupe odkrył masywne dębowe drzwi. Były zamknięte. Jupe dał znak Pete'owi. Pete wyjął z kieszeni mały przyrząd wyglądający jak scyzoryk: zamiast ostrzy miał druciki, haczyki, wiertelka. Zaczł majstrować przy zamku. W końcu rozległ się cichy trzask i drzwi ustąpiły.

Pokój, zamiast sufitu, miał strome sklepienie, pokryte dziwnymi znakami, które świeciły fosforycznie. Ściany były obite czarną błyszczącą tkaniną. W czterech lichtarzach o kształcie trupich czaszek paliły się świece. Trupie czaszki wyglądały na prawdziwe. Z martwych oczodołów wydobywał się migotliwy blask. Zęby były wyszczerzone w nieludzkim uśmiechu.

Na dużym owalnym stole z sinawego marmuru leżała stara księga w skórzanej oprawie, podniszczona talia kart, sztylet ze srebrną rękojeścią i kryształowa kula, od której były tęczne iskry — może odbijały się w niej migotania świateł, może promieniowała własnym światłem. Pete patrzył na kulę jak zahipnotyzowany: zobaczył w niej własną twarz. Zdeformowaną twarz potwora z wywalonymi kłami, ślepiami wytrzeszczonymi, wysuniętym jęzorem, długim i cienkim jak u żmii — a przecież poznawał siebie: cmentarne straszdyło z piekieł rodem. Poczł, że cały sztywnieje i zamienia się w sopel lodu. Zaczęło mu brakować tchu.

Pete trzymał w ręku amulet. Taki sam, w kształcie węża, na srebrzystym łańcuchu, jaki nosił na szyi Di Morte. Przybliżył amulet do jednej z czaszek, aby w blasku świecy odczytać napis na wężowym grzbiecie.

— I... D... E... — odcyfrował, litera po literze. — ID... ETROM... Zakłęcie? Wyraz magiczny? Przepowiednia?

Myśl zgasła, zagłuszona bolesnym jękiem, a później charkotem, jakby komuś podryzano gardło. To nie była halucynacja. Jupe zobaczył, że Pete odwraca się gwałtownie, z wyrazem przerażenia.

Pokój zaczął wypełniać się zawieszistą mgłą. Nie wiadomo, skąd wypełzały jej kłęby, cuchnące spalenizną. Raptem, tuż nad ich głowami, opary przecięła błyskawica. Szyby w oknach zadrżały. Rozległ się diabelski chichot, jakieś chrapliwe rżenie, przechodzące w skowyt.

Pete chwycił Jupe'a za rękę, wpił się w nią paznokciami. Chciał uciekać, pociągając za sobą przyjaciela. Ale nie mógł się ruszyć. Jupe także skamieniał.

Mgła zaczęła kurczyć się i gęstnieć, przybierając kształt ludzkiej postaci. Demoniczna istota wypełniała przestrzeń od podłogi aż po sklepienie. Była owinięta w całun, pod którym wyraźnie rysowały się piszczele i łuki żeber. Na jajowatej głowie sterczały kłaczki włosów, rozdziawioną paszczę wykrzywiał drapieżny grymas. Głowa chwiała się z boku na bok na cienkiej szyi. Z paszczy były niebieskawe płomyki. Oczy jarzyły się purpurowo. Po bieli całunu spływały strumienie krwi.

— Ty... też... to widzisz? — wybełkotał Pete.

Jupe przytaknął ruchem powiek. Dusił go jadowity smród tłącej się siarki, fetor gnijącego mięsa.

Spod całunu wyciągnęły się w ich stronę owłosione łapska zakończone szponami. Były coraz bliżej ich gardeł. Szpony zaczęły się wić jak macki ośmiornicy...

— Precz! — wrzasnął Pete.

Jupe zacisnął powieki.

Kiedy je uniósł, pokój zalegał półmrok, rozrzedzony światełkami latarek. Ani mgły, ani przerażającej postaci. Tylko odór zgnilizny i echo gasnącego jęku gdzieś spod podłogi.

Bez słowa rzucili się do ucieczki. Jupe był cały mokry od potu. Pete sadził wielkimi susami. Ścigały ich westchnienia, pohukiwania, gwizdy, z wolna gasnące, kiedy pędzili przez ogród do wyłomu w murze.

Bolid spokojnie czekał na parkingu. Dopiero tutaj oprzytomnieli.

— Co to było? — zapytał Pete trochę nieswoim głosem.

— Nie wiem — przyznał Jupe. — Ten cholerny dom jest rzeczywiście nawiedzony. Stock miał rację. Jeszcze trochę i uwierzę w duchy.

— Ja już uwierzyłem. Wracajmy do Rocky Beach. Nie jesteśmy egzorcystami.

— Wykluczone — powiedział po pauzie Jupe. — Gdybyśmy teraz spasowali, koniec z Trzema Detektywami.

— Są na świecie rzeczy, o których filozofom się nie śniło — przypomniał Pete.

— Mnie się będzie śnić ten koszmar przez resztę życia, jeśli nie dojdę, w czym rzecz — powiedział Jupe. — Muszę znaleźć wytłumaczenie. Inaczej zwariuję.

Pete wzruszył ramionami. On miał dość. Ale siadając za kierownicą i uruchamiając silnik corvetty, uświadomił sobie, że Jupe ma rację: teraz nie wolno spasować.

Abel Capricorn, jasnowidz i wróżbita, przyjął Boba w swojej pracowni, która w niczym nie przypominała siedziby czarnoksiężników. Żadnych rekwizytów czarnej magii, map Zodiaku, talizmanów, szkieletów, lunet. Pomieszczenie przypominało raczej gabinet informatyka: komputery, skanery, faksy, tablice matematyczne, dużo książek na półkach. Sam Abel Capricorn nie miał na sobie wschodniej szaty, tylko dobrze skrojony garnitur. Był sympatycznym mężczyzną w średnim wieku, o przerzedzonych, lekko wijących się włosach.

— Szczęśliwych liczb nie podaję — poinformował z miejsca. — Ani gwarantowanych sposobów zdobycia fortuny. Moje porady dotyczą głębszego poznania własnej osobowości, wrodzonych predyspozycji i uzdolnień.

— Bardzo dobrze — powiedział Bob. — Lepiej mnie pan zrozumie. — Podał Capricornowi firmową wizytówkę. — Badamy tutaj pewien szczególny przypadek i potrzebna jest nam pańska opinia.

Abel Capricorn wysłuchał go, nie przerywając, w skupieniu, z życzliwym wyrazem twarzy.

— Słyszałem o tym fenomenie — powiedział, kiedy Bob skończył relację. — Nie umiem go wytłumaczyć, ale nie jest to zjawisko odnotowane w naszych rejestrach.

Dzięki szczególnemu darowi, dotąd nie potwierdzonemu przez naukę, potrafimy do pewnego stopnia przewidywać przyszłość. W ogólnym zarysie, bez miejsc i dat. Parapsycholodzy, którzy próbowali uściślać swoje wizje, ponosili klęski. Nie wyłączając słynnego Nostradamusa. Jak wiadomo, 24 lipca 1999 roku koniec świata nie nastąpił, choć miały miejsce różne kataklizmy na całej kuli ziemskiej. Nasz dar przewidywania przyszłości wspieramy obliczeniami, posługując się najnowszą techniką komputerową i badaniami naukowców.

— Co pan myśli o Di Morte? — zapytał Bob.

— Nie figuruje w żadnym naszym rejestrze — odparł Capricorn. — Przybył tutaj bez rekomendacji Konfraterni Rumuńskiej i nie przyjął mojego zaproszenia. Byłem gotów z nim się spotkać. Odmówił.

— Jak pan ocenia jego wyczyny?

Abel Capricorn namyślał się przez dłuższą chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

— Nie są to zwykłe sztuczki szulera — odparł. — Kasyna w Las Vegas zatrudniają doskonałych fachowców, którzy w mig rozszyfrowaliby oszustwo. Był już u mnie pan Aron Stock, szef ochrony kasyna w hotelu „Princess”, powiedziałem mu to samo.

— Jeśli nie zwykłe sztuczki, to jakie?

— Nie wierzę w czarnoksiężników — powiedział z uśmiechem Capricorn. — Istnieją jednak pewne zjawiska paranormalne, nazywane tak, choć potwierdzone w eksperymentach naukowych. Uczni jeszcze nie znają ich istoty. Kiedyś, zapewne, poznają i niepojęte zjawiska staną się zrozumiałe. Na razie uchodzą za paranormalne, bo nie mieszczą się w uznanych normach.

— A nawiedzone domy? — zapytał Bob. — A duchy, strachy? Słyszał pan o takim nawiedzonym domu w Las Vegas?

— Dotąd nie słyszałem — odparł Abel Capricorn. — Gdyby w naszych stronach był taki dom, wiedziałbym o tym. Nie mamy takich zamczysk jak w Anglii, jesteśmy młodym krajem. Na wykluwanie się duchów potrzeba zapewne wielu stuleci.

Jeśli nie ma tutaj nawiedzonych domów, to co straszycie Jupe'a i Pete'a? — pomyślał Bob, lecz nie podzielił się tą myślą z Capricornem.

Na pożegnanie, w prezencie, dostał swój horoskop. Dowiedział się z niego, że w przyszłości czeka go wielka miłość, i przed oczyma stanęła mu kruczowłosa Noemi w stroju do konnej jazdy. Ciekawe, czy Jupe ma w horoskopie to samo. Przeczytał również, że nie powinien jadać buraczków i że jego szczęśliwy kamień to aleksandryt.

ROZDZIAŁ 5

Wybrańcy losu

Nikita Pietroff, jak się okazuje, nie opuścił Las Vegas. Wytropił go Stock sobie tylko znanymi sposobami. Powiadomił Trzech Detektywów, że Rosjanin mieszka w jednym z hoteli sieci Intercontinental, że jego firma „WOSTOK” prowadzi legalne interesy z kilkoma przedsiębiorstwami amerykańskimi i że Pietroff lubi spędzać samotnie wieczory w barze „Kazaczok”, popijając wódkę i oglądając występy ukraińskich tancerek. Okazało się również, że Aron Stock dysponuje zdjęciami pozostałych „wybrańców losu”: ukryte kamery monitorują nieustannie salony kasyna i rejestrują obraz na kasecie wideo. Na życzenie Jupe’a hotelowy detektyw wręczył mu fotografie Alda Aurelia, Very von Klang, Mychajla Rezuna i Lea Baretty — wykadrowane z kasety i powiększone.

— Nie wykryłem żadnych związków między tymi ludźmi a Rafaelem Di Morte — powiedział. — Z całą pewnością nie spotykali się z nim, ani przedtem, ani po wygranej. Sprawdziłem to na sto procent.

Jupe nie wyraził w tej sprawie wątpliwości. Po pierwsze, nie miał podstaw, aby wątpić w umiejętności i kontakty Arona Stocka. Po drugie, nie wydawało mu się, by osobista znajomość wybrańców losu z Di Morte miała tu istotne znaczenie. Tak podpowiadała Jupe’owi intuicja, a zawodziła go rzadko. Klucz do tajemnicy musiał znajdować się gdzie indziej.

Tylko gdzie?

Do hotelu Intercontinental, w którym zatrzymał się Pietroff, Jupe wybrał się osobiście. W recepcji ustalił, że firma „WOSTOK” zajmuje dwupokojowy apartament biurowy na czternastym piętrze: sekretariat i gabinet przedstawiciela. Pan Pietroff niedawno wyszedł, ale jest jeszcze jego asystentka.

— Też Rosjanka? — zapytał recepcjonistkę.

— Nie. Potrzebował kogoś do pomocy na czas pobytu u nas, więc poleciliśmy mu wykwalifikowaną sekretarkę ze znajomością języka rosyjskiego. Świadczymy takie usługi zagranicznym biznesmenom. Panna White współpracuje z nami. Jest specjalistką w handlu ze wschodnią Europą. Wielu Rosjan korzysta z jej usług. Pokój numer 1423.

Jupe wjechał windą na czternaste piętro. Na drzwiach oznaczonych numerem 1423 widniała wizytówka „WOSTOK. Kawior astrachański. Spółka z o.o.” Za biurkiem siedziała młoda elegancka kobieta w okularach. Właśnie odbierała przesyłkę z telefaksu.

Jupe przedstawił się i zapytał o pana Pietroffa.

— W jakiej sprawie? — uśmiechnęła się przyjaźnie asystentka.

— W osobistej, pani White. Pan Pietroff nie może się pani nachwalić.

Sekretarka uniosła brwi z lekkim zdziwieniem, uznała jednak, że może to być prawdopodobne, jeśli ten sympatyczny tęgawy młodzieniec o ciemnej czuprynie zna osobieście jej tymczasowego szefa. Uśmiechnęła się do Jupe'a jeszcze przyjaźniej.

— To miłe, dziękuję. Pan Pietroff, niestety, już wyszedł, będzie w biurze dopiero jutro. Może ja mogłabym pomóc?

Jupe udał, że się waha.

— Szukam kilku znajomych moich rodziców — powiedział w końcu. — Podobno współpracują z firmą „WOSTOK”. Zapomniałem o nich spytać pana Nikitę. Chodzi o panów Alda Aurelia i Mychajła Rezuna.

— Nie przypominam ich sobie.

— I o Verę von Klang.

— Panią Verę pamiętam — ucieszyła się sekretarka. — Była u nas w zeszłym tygodniu, taka wysoka blondynka, jak na Rosjanek świetnie włada angielskim. Wpadła na chwilę, żeby się spotkać z prezesem „WOSTOKU”, gościł tutaj przez jeden dzień. Nasze główne przedstawicielstwo mieści się w Nowym Jorku.

— Wiem oczywiście — powiedział Jupe. — Tam na pewno wiedziano by, jak skontaktować się ze znajomymi rodziców. Chodzi o import dużej partii kawioru. Mógłbym prosić o adres centrali?

Pani White podała mu wizytówkę, seledynowy prostokąt z połączanymi brzegami: „IGOR MIRONOWICZ BIELAGA, Prezes Spółki WOSTOK, 309 West 104 St. New York, N.Y.10025”. Jupe podziękował, kazał pozdrowić pana Pietroffa od jego przyjaciół w Los Angeles.

Jedna z osób, które trafiły wielką wygraną, znała Nikitę Pietroffa. Ten ślad powinien dokądś prowadzić. Przypadek chyba był wykluczony.

Aron Stock natychmiast zjawił się w apartamencie Trzech Detektywów. Wysłuchał z uwagą relacji Jupe'a, wizytówkę schował do portfela.

— Jesteś dobry — mruknął z mimowolnym uznaniem. — Ten ślad musi dokądś prowadzić. Wskoczę na dzień do Nowego Jorku. Jeśli okaże się, że wszyscy wielcy wygrani mają związek z jedną firmą, jest punkt zaczepienia dla prokuratora.

— Tylko pół punktu — powiedział Jupe. — Druga połowa to Di Morte.

— Dyrekcja kasyna nadal liczy na was — rzucił z uśmiechem Stock, choć nie był to już uśmiezek tak ironiczny, jak pierwszego dnia: trójka młokosów zaczęła mu imponować. — Dziś Di Morte może powtórzyć swoją sztuczkę. Pan Collins prosi, żebyście przyspieszyli tempo.

— Pracujemy na pełnych obrotach — zapewnił Bob.

Stock wyszedł.

— Musimy jednak zwiększyć obroty — powiedział Jupe, gdy hotelowy detektyw zamknął za sobą drzwi. — Parę rzeczy już wiemy, zwłaszcza po wizycie w nawiedzonym domu.

— Że tam naprawdę straszy? — uśmiechnął się krzywo Pete, czując między łopatkami zimny dreszczyk.

— Nie tylko. — Jupe w zadumie skubał dolną wargę. — W pokoju Dymitra nie ma metalowych przedmiotów...

— Co takiego? — nie zrozumiał Bob.

— No właśnie. Plastikowy talerz, nóż i widelec z plastiku. Dużo różnych rzeczy, ale nic z metalu. Nawet suwak przy džinsach ze sztucznego tworzywa. Klamra paska też.

— Jak to rozumiesz? — zapytał Pete.

— Nijak — odparł Jupe. — Tylko stwierdzam. Myślę natomiast, że wiem, gdzie należy szukać w Rumunii ich śladów. Przynajmniej jakichś informacji o Noemi. Masz nowe zadanie, Bob.

— Mianowicie? — spytał Bob Andrews z zaciekawieniem.

— Leć internetem do rumuńskich cyrków — powiedział Jupe. — Spróbuj wyciągnąć jak najwięcej danych, zwłaszcza o wołyżerkach.

— Co ci przyszło do głowy? — rzucił Pete, nie kryjąc zdziwienia.

Jupe znowu poskubał dolną wargę.

— Pamiętasz pokój Noemi? — odezwał się po pauzie, zapatrzony w panoramiczne okno, za którym wczesny zmierzch wyczarował pierwsze świetlne kalejdoskopy. — Pamiętasz fotografię konia w ozdobnym czapraku ze strusimi piórami? To był koń cyrkowy. A teraz przypomnij sobie wyczyny Noemi w klubie jeździeckim.

— Ty masz łeb! — sapnął Pete.

— A ty własne zadanie — powiedział Jupe. — Potrafisz się potknąć? Tak naturalnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń? Ja ci, zresztą, pomogę.

— Gdzie to ma być? — zapytał Jupe.

— W kasynie. Dziś wieczorem.

Ruleta wirowała. Krupier zgarniał grabkami sztony, rozdzielał wygrane. W jego sympatycznej, profesjonalnie uśmiechniętej twarzy dawało się wyczuć napięcie. Gracze skupieni wokół rulety także nie potrafili ukryć podniecenia. Wskazówka zegara pokażywała północ.

Czy pojawi się mężczyzna w czerni, z węzowym amuletem na łańcuchu?

Kogo dzisiaj wskaże?

W każdym z graczy płonąła nadzieja. Każdy wierzył, że to do niego uśmiechnie się szczęście, że jego tym razem wybierze lnianowłosy chłopiec o chorowitej twarzyczce, który pojawi się na chwilę, aby powiedzieć ojcu dobranoc.

W dyrektorskim gabinecie czuwał przy monitorze Bert Collins. Nie odrywał oczu od ekranu. On także miał nadzieję, lecz na coś innego: że Di Morte nie przyjdzie do kasyna w hotelu „Princess”, że po rozmowie jednak przeniesie się do innego. Tyle jest kasyn gry w Las Vegas. Dlaczego właśnie tutaj daje swój popis?

Jupe i Pete popijali w kącie sali sok migdałowo-pomarańczowy. Oni także byli zde nerwowani, zwłaszcza Pete. Eksperyment zaplanowany przez Jupe’a mógł być niebezpieczny: trudno przewidzieć, jak zareaguje na niego wszechpotężny czarnoksiężnik, władca fortuny i zjaw.

Z wybiciem północy na salę wszedł Di Morte.

Jak zawsze, rozpoczął grę od niewielkich sum, obstawiając kolory studolarowymi sztonami. Wygrywał, przegrywał. Gracze wodzili za nim spojrzeniami, starając się wpaść mu w oko, zwrócić na siebie uwagę. Stali bywalcy zaczepiali go przypochebnymi uśmiechami. Ktoś zapytał o zdrowie Dymitra, ktoś inny zaproponował wypicie z nim szampana. Di Morte dziękował z chłodnym wyrazem twarzy.

Po upływie paru kwadransów w progu sali pojawił się Dymitr. Był bledszy niż zazwyczaj, powieki miał zaczerwienione.

Wokół rulety zaległa cisza.

Di Morte przerwał grę i ruszył w kierunku syna. Otoczył go ramieniem, musnął dłonią blond kędziory. Obaj podeszli do stołu, zatrzymując się kilka kroków od rulety. Dymitr sennymi oczami bez wyrazu przyglądał się obecnym. Na moment jego wzrok zatrzymał się na Jupiterze. Musiał mnie poznać, pomyślał Jupe, i przypomniał sobie, jak podejmował dwukrotnie próbę nawiązania z nim rozmowy w klubie jeździeckim, w obu przypadkach bez skutku — chłopiec albo go nie rozumiał, albo nie chciał odpowiadać.

Twarcz Dymitra nie drgnęła, spojrzenie przesunęło się na inną osobę. Chyba nie poznał. Albo nie chciał okazać, że poznaje. Zlustrował po kolei wszystkich, a Jupe’owi wydało się nagle, że nikogo nie widzi, myślami jest daleko. Potem zamknął oczy. Rafael Di Morte pochylił głowę, uchem niemal dotykając warg chłopca. Jupe i Pete już byli przy nich. Jupiter byłby gotów przysiąc, że Dymitr nie poruszył wargami.

Po chwili Di Morte wyprostował się i wyciągniętym ramieniem wskazał na niewysoką, tęgą kobietę w welurowej sukni z koronkowym żabotem.

— Dymitr wybrał panią — rozległ się w kompletnej ciszy jego gardłowy, niski głos.

Kobieta otworzyła szeroko oczy. Słysząc było, jak przełyka ślinę. Poruszała ustami, nie mogąc wydać dźwięku.

— Co mam zrobić? — zapytała wreszcie zduszonym szeptem.

— Postawić wszystko na jakiś numer — powiedział Di Morte. — I mocno wierzyć, że na ten numer padnie wygrana.

— Ale na jaką liczbę? — wybełkotała kobieta.

— Nie wiem — odparł Di Morte. — Decyzja należy do pani. Ja przekazuję znak szczęścia.

Kobieta zaczęła grzebać w torebce. Ktoś jej zaproponował swoje sztony, sugerując, że podzieli się wygraną, kobieta jednak odmówiła. Okazało się, że ma w torebce rolki sztonów o najwyższych nominałach. Było ich dużo. Moment wahania i postawiła wszystkie na 21.

Ruleta wystartowała. Di Morte i Dymitra dzielił od niej metr wolnej przestrzeni. Gdy koło zaczęło zwalniać, Jupe nagle zachwiał się i potrącił Pete'a. Pete stracił równowagę, balansując wtargnął w przestrzeń między ruletą i Dymitrem.

Di Morte odepchnął go z niespodziewaną brutalnością. Trwało to ułamek sekundy. Nikt tego nawet nie zauważył — wszyscy byli wpatrzeni w skaczącą kulkę.

Kulka zastygła w przegródce z numerem 20.

— Parzyste, kolor czerwony, numer dwadzieścia! — ogłosił krupier niespodziewanie podniesionym głosem i grabkami przyciągnął do siebie górę sztonów, które postawiła kobieta w welurowej sukni.

— Dzięki ci, Boże! — jęknął w swoim gabinecie Bert Collins z twarzą przy samym ekranie podglądu.

Harmider, jaki wybuchł, pozwolił Jupe'owi i Pete'owi wymknąć się niepostrzeżenie z sali do hallu hotelowego. Zostawili za sobą skamieniałego Di Morte z Dymitrem i dramatycznie gestykulujących, wykrzykujących coś, uradowanych ludzi, których — być może ku własnemu zaskoczeniu — najwyraźniej ucieszyła przegrana kobiety w welurze.

— Jak to się stało? — sapnął Pete.

Jupe nie odpowiedział. Jeszcze nie miał logicznej odpowiedzi, ale jedno stało się jasne: doszło do zakłócenia i numer nie wyszedł. Tylko co zakłócili on i Pete? Hipnotyczną więź maga z ruletą? Martwych przedmiotów nie można hipnotyzować. A przecież liczył na powodzenie eksperymentu i ten się udał, wielka wygrana nie padła...

Zastanawiając się nad tym i skubiąc dolną wargę, Jupe zauważył Noemi: siedziała w rogu hallu, na brzeжку skórzanej kanapy, zapewne czekając na brata. Ona też go dostrzegła. Uśmiechnęła się leciutko i skinęła głową. Serce Jupe'a podskoczyło, przez chwilę miotał się jak ptak w sidłach. Noemi, z rozpuszczonymi włosami spadającymi na ramiona, wielkooka, w czarnej sukience mini opinającej smukłą figurkę, wydała się

Jupiterowi baśniową księżniczką, zjawiskiem prawie niezemskim. Chciał do niej podejść i nie śmiał. A kiedy się zdecydował, było już za późno: poczuł na ramieniu stalo-
wy uścisk.

Odwrócił się i zobaczył Di Morte.

ROZDZIAŁ 6

Drugie spotkanie ze zjawą

Mag stał przed nimi, wciąż trzymając rękę na ramieniu Jupe'a i mrużąc głęboko osadzone, czarne jak węgiel oczy. Krzaczaste brwi zbiegały mu się u nasady nosa.

— Na pewno chciałbyś porozmawiać ze mną, chłopcze — rozległ się jego niski głos z nutką drwiny.

— Tak pan sądzi? — wymamrotał Jupe; nic sensowniejszego nie przyszło mu do głowy, pod czaszką czuł dziwny zamęt.

— Jak wam się spodobał mój dom? — pytanie było skierowane do nich obu. — Żałuję, że nie mogłem was powitać osobiście. Ale wszystko przed nami. Czekam na ciebie jutro o czwartej po południu, Sherlocku Holmesie.

Zapraszał Jupe'a. Pete mimo woli odetchnął z ulgą.

— Nie jestem pewien, czy będę mógł... — zaczął Jupe, czując w głowie coraz większy zamęt, przeniknięty dziwnym, niewytłumaczalnym lękiem. Ogarnął go paraliż, nie mógł wykonać najdrobniejszego ruchu. Zmrużone oczy Di Morte przepalały go na wyłot, aż do bólu.

— Na pewno będziesz mógł — powiedział Di Morte. — Noemi się ucieszy. A ty aż się palisz, żeby jej sprawić radość — na sinawych wargach maga pojawił się ironiczny uśmieszek. — Mam rację, młody człowieku?

Jupe zarumienił się po czubek nosa. Poczul to i zrobiło mu się głupio.

Di Morte zdjął mu rękę z ramienia. Paraliż ustąpił, a z nim paniczny lęk.

— Przepraszam, jeśli w czymś przeszkodziliśmy — powiedział, ruchem głowy wskazując na salę kasyna.

Di Morte zaśmiał się chrapliwie.

— Tak myślisz? Szczęściu nie można przeszkodzić, kiedy ma przyjść to przyjdzie. Podobnie jak nieszczęściu, Jupiterze Jones. Bez szczęścia da się żyć. Ale nieszczęście zabija. — W głosie Di Morte zabrzmiała groźba. — Jak się czujesz, chłopcze?

Jupe zatrząsł się: poczuł raptem uderzenie prądu, jakby dotknął kabla pod napięciem. Skurcz mięśni omal nie pozbawił go przytomności. Trwało to parę sekund. Pete patrzył z przestachem na wykrzywioną twarz przyjaciela.

— Normalnie — wybełkotał Jupe, siląc się na uśmiech. — A pan?

— Arogant z ciebie, przyjacielu. Cenię zuchwałość. Jutro o czwartej, i bądź punktualny.

Opuścił hotel w towarzystwie Noemi i Dymitra. Wychodząc, Noemi obejrzała się ukradkiem. Napotkała spojrzenie Jupe'a: w jej oczach zobaczył przestach, a może tylko smutek.

— Skąd wiedział, jak się nazywasz? — usłyszał gorączkowy szept Pete'a. — I że byliśmy w jego domu?

To pierwsze dałoby się wytłumaczyć: przedstawił się Noemi w klubie jeździeckim. Ale to drugie? Jupe dałby sobie uciąć głowę, że nikt ich tam nie widział. Szkoda głowy.

Bob żeglował po internetowych stronach „Rumuńskiej sztuki cyrkowej”, aż znalazł to, czego spodziewał się Jupe: na jednym ze zdjęć reklamowych prowincjonalnego cyrku „Luna” wypatrzył wśród woltyżerek dziewczynę podobną do Noemi. Ona, nie ona?

Najnowszej generacji komputer pozwolił Bobowi przybliżyć i powiększyć fotografię. Brakowało jednak ostrości; w zbliżeniu twarz była rozmazana, ponadto zniekształcona przez makijaż. Plakatowe zdjęcia mają kiepską jakość. Mimo to Bob był coraz bardziej pewien, że cyrkowego rumaka w ozdobnym czapraku ze strusimi piórami dosiada córka Di Morte.

Udało mu się nawiązać kontakt z centralną dyrekcją rumuńskich cyrków. Przedstawivszy się jako artystyczny menedżer z Kalifornii, wyraził najpierw uznanie dla rumuńskiej sztuki cyrkowej, potem napomknął o głośnym Festiwalu Konnej Akrobacji w Los Angeles.

— Rozpatrujemy możliwość zaproszenia kogoś od was — nadał. — Słyszeliśmy o cyrku „Luna”.

— Mamy lepsze cyrki — odpowiedział internetowy rozmówca.

— Możemy przesłać materiały.

— Jeden z naszych przedstawicieli był w „Lunie” — wystukał na klawiaturze Bob. — Chwali tamtejsze woltyżerki. Mam przed sobą ich fotografię, zamieszczoną w Internecie. — Podał symbole i numer strony. — Proszę ją odszukać.

— Znaleźliśmy — nadeszła po paru minutach odpowiedź.

— Kim jest woltyżerka czwarta od lewej? Nasz przedstawiciel zwrócił na nią uwagę.

— Spróbujemy ustalić jej dane. Proszę się nie rozłączać.

Bob odsunął się od konsoli i zabrał się za kiszone ogórki, dostarczone do pokoju wraz z wieczornym posiłkiem. Przepadał za kiszonymi ogórkami z jakichś tajemniczych „Pudliszek”, made in Poland. Były pyszne: z koprem, czosnkiem i cebulką oraz listkami wiśni, pływającymi w aromatycznym sosiku, niezbyt kwaśne i leciuteńko słodkawe, chrupiące. Nim się obejrzał, zjadł cały słoik. Dopiero teraz przypomniał sobie o przyjaciółkach — oni też lubili ogóreczki z „Pudliszek”. Żeby nie mieli do niego żalu, Bob wrzucił pusty słoik do pojemnika na śmieci i wtedy właśnie na monitorze pojawiła się fotografia Noemi, wypełniająca cały ekran. To była z całą pewnością ona — bez szminki, uśmiechnięta, z kruczymi włosami do ramion.

— Czy o tę artystkę chodzi? — nadeszło pytanie.

— Tak — potwierdził Bob.

— Nazywa się Imeo Mitrescu. Już nie występuje w „Lunie”. Wzięła bezterminowy urlop. Możemy wysłać na wasz festiwal inne artystki, nie mniej profesjonalne, znane w całym kraju. Czekamy na oficjalną ofertę.

— Przygotujemy — wystukał Bob i przerwał połączenie z Bukaresztem.

Ścisnął skronie. Wpatrywał się w kartkę papieru z wydrukiem: IMEO MITRESCU. Imeo?...

Zaraz, zaraz... Coś tu współbrzmi, coś z czymś się kojarzy. I-m-e-o — N-o-e-m-i. Te same litery. Brakuje „N”. Jedną literkę można odjąć albo dołożyć.

Bob pochylił się nad wydrukiem. Olśniło go: przeczytał wspaniałe imię artystki i wyszło OEMI. Dodać „N” i jesteśmy w domu! NOEMI.

Ładne imię. Piękna, fascynująca dziewczyna. Gdyby taka mieszkała w Rocky Beach, Bob nie oglądałby się za innymi dziewczętami. Wzięłoby się ostro za konną jazdę na farmie wuja. Pochwaliby się jego stadniną przed Noemi, wybierałoby się tam razem, byłby nawet gotów pouczyć się woltyżerki. Wuj ma parę arabów z rodowodami, Noemi wpadłaby w zachwyt na ich widok. A co z Jupiterem? Bob znał dobrze przyjaciela: ten, kto nie zwraca uwagi na dziewczyny, nie ma na nie odporności — jak już wdepnie, to na amen. Może jednak lepiej, że Imeo Mitrescu mieszka w Bukareszcie?

Nie usłyszał, jak tamci weszli.

— Śpisz czy marzysz? — zapytał Pete.

— Śpię — skłamał Bob. — Właśnie mi się przyśniła piękna Imeo Mitrescu.

— Co to za jedna? — spytał Jupe, patrząc z wyrzutem na zgaszony komputer. — Miałeś szukać w Internecie.

— Kto szuka, ten czasami znajduje — odparł filozoficznie Bob i pokazał kolegom komputerowy wydruk fotografii. — Oto przed wami Imeo Mitrescu, gwiazda cyrku „Luna”, najśliczniejsza z woltyżerek.

— To Noemi! — zawołał Jupe.

— Przeczytaj wspaniałe jej prawdziwe imię — powiedział Bob, nie kryjąc triumfu.

Jupe ścisnął palcami dolną wargę. Potem potrząsnął głową.

— W s p a k... — przeciągnął, patrząc tępo przed siebie i nie widząc za szybą panoramiczną fajerwerku świateł nocnego Las Vegas. — To znaczy, że byłem na właściwym tropie... Wspak, powiadasz? Jasne, że wspak!

Nagle podskoczył, aż mu zafalowało sadelko nad paskiem spodni. Zaśmiał się głośno, szczerząc komplet białych, równiutkich zębów.

— Wspak! — wykrzyknął. — Czułem! Wspak, rozumiecie?

Dopadł Boba i uściśnął go z całych sił, omal nie łamiąc przyjacielowi żeber. W chwilach doniosłych Jupe miał niebywałą siłę.

— Ale to nie tłumaczy jeszcze wszystkiego — odezwał się półgłosem Pete.

— Nie tłumaczy — zgodził się Jupe po długiej pauzie i westchnął.

Dyrektor Collins powitał Trzech Detektywów promiennym uśmiechem i otwartymi ramionami. Na stoliku w rogu gabinetu parowała już kawa ze śmietanką, piętrzyła się góra ciasteczek. Usiedli na kanapie, Bert Collins w fotelu naprzeciw.

— Winszuję — powiedział. — Daliście wczoraj po nosie temu draniowi. Rozumiem, że już znacie jego sekret. Czas wezwać prokuratora.

— Niestety, jeszcze nie, proszę pana — odparł Jupiter. — Wiemy tylko, że można mu przeszkodzić, ale nie mamy na razie pojęcia, jak to robi. Brakuje dowodów.

— I nie rozumiemy, dlaczego sam nie gra, tylko daje wygrywać innym — wszedł mu w słowo Bob.

— Na pewno nie jest bezinteresowny — zgodził się Collins. — Stock myśkuje już w Nowym Jorku. — Jeżeli potwierdzi się wasze przypuszczenie, że faworytów Di Morte coś łączy, będziemy na dobrej drodze do rozwiązania zagadki.

Jupe schrupał ciasteczko orzechowe, popił kawą i sięgnął po drugie, z kremem i wiśienką.

— Tylko to, że się znają, niczego jeszcze nie dowiedzie — powiedział. — Ważniejszy byłby dowód, że zna ich Di Morte. My też nie wierzymy w jego bezinteresowność.

— Ma tu konto w banku — powiedział Collins. — Sprawdziliśmy je. Niewielka suma i nic nie przybywa.

— To zrozumiałe — uśmiechnął się Bob. — Di Morte nie jest głupi.

— Z czego zrobiony jest mechanizm rulety? — zapytał Jupe.

Bert Collins trochę się zdziwił, ale podszedł do regałów, wziął stamtąd jakąś teczkę i zademonstrował Trzem Detektywom kilka rysunków technicznych.

— To są standardowe urządzenia, opatentowane i jednakowe we wszystkich kasynach gry na świecie. Wytwarza je wyspecjalizowane przedsiębiorstwo, z oficjalnymi uprawnieniami i pod kontrolą państwa. Na ich funkcjonowanie nie można mieć wpływu. Są opieczętowane i sprawdzane systematycznie przez przysięgłych fachowców.

— Ale z czego są zrobione? — powtórzył pytanie Jupe.

— Z metalu — odparł Collins. — Konstrukcja jest solidna i raczej niezawodna. Bardzo rzadko się psują. Krupierzy to pewni ludzie, ale i oni, gdyby nawet chcieli, nie mogą wpłynąć na bieg kulki i obroty. Rządzi tu całkowity przypadek, jak we wszystkich grach losowych.

— Czyli nie można zatrzymać koła i przewidzieć, gdzie stanie kulka — uściślił Pete.

— W żaden sposób — potwierdził dyrektor.

— A jednak Di Morte to robi — powiedział Jupe. — Jeśli przestanie przychodzić tutaj, przeniesie się do innego kasyna. Może uprawiać dalej swój proceder.

— Wolałbym oczywiście, żeby się od nas wyniósł, ale nie życzę źle innym kasynom — powiedział Collins. — Di Morte zagraża całemu Las Vegas.

Jupe dyskretnie sięgnął po ciasteczko z brzoskwinia, udając, że nie dostrzega kpiącego uśmiešku Pete'a.

W takim razie, aby nie zaczynać wszystkiego od początku, warto by było zdemaskować go tutaj — powiedział.

Bert Collins przytaknął.

— Jak mu wczoraj przeszkodziliście? — zapytał.

— Pomiędzy ruletą a Di Morte i jego synem coś się dzieje — odparł Jupiter. — Jest jakaś łączność, ale nie wiemy, na czym polega. Pete przesunął się między nimi, kiedy koło zwalniało, i kulka stanęła na innym numerze.

— Zauważyłem ten manewr na podglądzie — potwierdził Collins. — Ale o co tu chodzi?

— Jeszcze nie wiemy — przyznał Jupe. — Wy tłumaczenie musi jednak istnieć. Szczęścia nie można odwrócić, przemykając komuś przed nosem.

— Jako dyrektor kasyna wiem, że szczęście nie istnieje — powiedział Bert Collins. — Bywają tylko od czasu do czasu korzystne dla kogoś zbiegi okoliczności. Inaczej szczęściarze nie wychodziliby z kasyn i pustoszyliby sejfy totolotka. Teoria prawdopodobieństwa sprawia, że wszystkie kasyna muszą być na plusie. W końcowym rachunku każdy hazardzista przegrywa.

— Nie możemy jednak powtarzać sztuczki z potknięciem — powiedział Pete.

Dyrektor zgodził się, że nie mogą. Trzeba jak najszybciej rozwiązać zagadkę. Di Morte nie jest przecież prawdziwym czarnoksiężnikiem.

— Raczej nie jest — przytaknął bez przekonania Pete, przypominając sobie piekielną noc w nawiedzonym domu i czując, jak zimny dreszczyk przebiega mu po plecach.

Jupe zjawił się w domu Di Morte punktualnie o czwartej. Pete czekał na niego w żółtym bolidzie zaparkowanym na zewnątrz, tam gdzie poprzednim razem. Świeciło

słońce. W jego wesołym blasku stare domostwo utraciło niesamowitość. Był to po prostu zapuszczony budynek z wieżyczkami, dawno nie odnawiany, z szybami zaciągniętymi kurzem.

Di Morte przyjął Juve'a w małym saloniku na parterze. Miał na sobie jedwabny japoński szlafrok z gromadą purpurowych smoków na seledynowym tle. Na chwilę pojawiła się Noemi, trochę blada, z podkrążonymi oczami. Obdarzyła Juve'a zdawkowym uśmiechem, postawiła na stole tackę z sokami i opuściła pokój.

— Zacznijmy od tego, że popełniliście przestępstwo, włamując się do cudzego domu — powiedział Di Morte, nalewając Juve'owi do szklanki pomarańczowy sok, a sobie wodę mineralną.

— To jest pańskie przypuszczenie — odparł uprzejmie Juve. — Przestępstwo należy udowodnić.

Di Morte zaśmiał się, obnażając rzadko rozstawione, drapieżne zęby. Przez stół podał Jupiterowi fotografię. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało jego i Pete'a z wystraszo-nymi twarzami, na tle gabinetu czarnoksiężnika.

— Ten dowód wystarczyłby, ale nie zamierzam zwracać się na policję — powiedział Di Morte. — Sam załatwiam swoje sprawy. Trzej detektywi to sympatyczni chłopcy, mają szansę stać się sławni w całym Rocky Beach i okolicy, może nawet w Los Angeles. Niech badają kradzieże rowerów na swoim terenie. Las Vegas to nie miejsce dla nich.

— Bardzo nam się tutaj podoba — powiedział Juve.

— Przestanie — zapewnił Di Morte. — Można oblać się sokiem.

W tym samym momencie Juve poczuł skurcz w prawym ramieniu. Ręka drgnęła, pomarańczowy sok strzelił ze szklanki, oblewając Juve'owi koszulę i spodnie. Jupiter flegmatycznie odstawił szklankę na stół.

— Nie z nami takie sztuczki, panie Di Morte — powiedział chłodno — Nie jesteśmy w rumuńskim cyrku.

Przez twarz czarnoksiężnika przemknął cień. Natychmiast jednak zapanował nad sobą, uśmiechnął się do Jupitera.

— To był żart, przepraszam. Gwarantuję, że nie będzie plam. Czy możemy dojść do porozumienia?

Plam rzeczywiście nie było, sok na koszuli i spodniach jakby wyparował, nie zostawiając śladu. Juve postarał się nie okazać zdumienia.

— Zależy — odparł. I strzelił na oślep: — Zapewniłby nam pan wielką wygraną w kasynie?

Di Morte wyglądał na zaskoczonego.

— Przeceniasz mojego syna — odparł po pauzie. — On tylko przeczuwa, kto z obecnych ma tego wieczoru szczęście. Samo szczęście zsyła los.

— W takim razie obawiam się, że nie dojdziemy do porozumienia — poszedł na całość Juve i wstał z fotela, udając, że zamierza wyjść.

— Siadaj — rzucił władczo Di Morte. — Jeszcze nie skończyliśmy. Wyczuwam wokół was niedobre fluidy, być może jesteście w poważnym niebezpieczeństwie. — Opuścił powieki. — Widzę, jak żółta corvetta z wami w środku zderza się z ciężarówką... Nie, to nie corvetta. Spada samolot, którym wracacie do Los Angeles. Zaczepia skrzydłem o wierzchołek góry...

— Nie dojdziemy do porozumienia — rzucił twardo Jupiter.

— W waszym hotelowym apartamencie wybuchł pożar — ciągnął Di Morte z zamkniętymi oczami. — Widzę... Palą się zasłony, meble. Nie otwierajcie okna, bo ogień jeszcze bardziej się rozprzestrzenił. Chcecie wybiec z pokoju, ale drzwi się zaklinowały. Pełno dymu, straszny żar, dusicie się...

Jupe faktycznie się dusił. Widział otaczające go płomienie, czuł ból od oparzeń, zaczęło mu się robić niedobrze. Resztkami sił zerwał się z fotela. Wizja znikła. Miał przed sobą uśmiechniętą twarz Di Morte.

— Nie dojdziemy do porozumienia — powtórzył, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

— Proszę, usiądź — powiedział łagodnie Di Morte. — Moje wizje mogą udzielać się innym. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

Jupe usiadł. Już był spokojny.

— Dlaczego nie gra pan nigdy dla swojej własnej korzyści? — zapytał.

— Ja nie mam szczęścia — odparł Di Morte. — Mogę tylko pomagać innym.

— I tak panu na tym zależy?

— Imperatyw albo nadrzędna misja, jak wolisz. Zostałem wybrany, aby uszczęśliwiać. Nie przeszkadzajcie mi w tym, a ja potrafię okazać wdzięczność. Opuście Las Vegas.

— Co w zamian? — zapytał Jupe.

Di Morte wahał się.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Dzisiejszej nocy wygrasz wielką stawkę. Pożyczę ci pieniądze, a ty mi je jutro zwrócisz i odlećisz do domu. Będziecie bogaci.

— Więc to pan decyduje jednak o szczęściu — stwierdził Jupe i podniósł się z fotela.

— W wyjątkowych przypadkach.

— Nie lubię być wyjątkiem, panie Di Morte. Muszę już iść. Proszę pozdrowić Imeo Mitrescu.

Twarcz magi zastygła w zdumieniu, potem wykrzywiła się we wściekłym grymasie.

— Pożałujecie! — wykrzyknął.

I nagle salon zaczął się wypełniać czarnym gryzącym dymem. Di Morte zniknął. Z gęstych kłębow, dobywających się nie wiadomo skąd, wypłynęła blada twarzyczka Noemi, zawieszona w przestrzeni jak balon: zaczęła pęcznieć, nadymać się, zniekształ-

cać przerażająco, aż pękła z hukiem, rozbryzgując wokół potoki krwi. Jupe krzyknął, ile sił w płucach, lecz nie usłyszał własnego głosu. W nozdrza uderzył fetor rozprutych wnętrzności, gnijącego mięsa, stęchlizny.

Po chwili dym zaczął się przeredzać i nad podłogą zawisła półprzezroczysta postać owinięta w całun. Jajowata głowa na cienkiej szyi chwiała się z boku na bok, oczy świeciły czerwono, z rozdziawionego otworu ust były sinawe płomyki ognia. Spod całunu wysunęło się bezcielesne ramię, kościany palec pogroził Jupiterowi.

— Biada ci, prochu marny! — rozległo się chrapliwe syczenie, dolatujące jakby z zaświatów. — Szeźniesz, jeśli nie usłuchasz mistrza! Zejdź mu z drogi, póki jeszcze czas, bo inaczej... — Syk przerodził się w jazgot, w zamierające powoli wycie wilkołaka.

Zjawa znikła równie nagle, jak się pojawiła. Salonik był pusty. Jupe chwiejnie ruszył do wyjścia, zataczając się, z trudem łapiąc oddech. Czaszkę rozsadzał dojmujący ból, kożula była mokra od potu, w uszach dudniła setka bębnow.

W progu natknął się na Noemi, była jeszcze bledsza niż w przywidzeniu. Chwyliła go za rękę.

— Nie zadzieraj z nim, błagam... — usłyszał jej szept. — Jeśli mnie choć trochę lubisz... Wyjedźcie stąd natychmiast, inaczej spotka was nieszczęście.

Miała łzy w oczach. Jupe poczuł, że ściska mu się serce. Ujął dłonie Noemi, zajrzał jej w oczy.

— Nie możemy wyjechać — odpowiedział szeptem. — Musimy tę sprawę doprowadzić do końca. Zrozum, Imeo. On nie jest waszym ojcem, prawda?

Dojrzał przestרח w jej oczach. Przestרח i zaskoczenie.

— Wiesz?

— Jeszcze nie wszystko — odparł.

— Gdybyś wiedział... Boję się o brata. Dymitr jest bardzo chory, czuje się coraz gorzej, tutaj nie ma dla niego lekarstw. On nie jest normalnym chłopcem, traci siły...

— Do czego was zmusza Di Morte?

— Uciekajcie stąd.

— Chcę ci pomóc — powiedział Jupe.

— To niemożliwe — usłyszał.

ROZDZIAŁ 7

W sidłach czarnoksiężnika

Aron Stock prosto z lotniska zajechał do hotelu i bez pukania wszedł do pokoju dyrektora Collinsa.

— Miał pan rację, ci chłopcy są dobrzy — powiedział, nie siadając. — Ich przypuszczenia sprawdziły się co do joty. Wszyscy wielcy wygrani są związani z firmą „WOSTOK”.

— Co to za firma? — zapytał Bert Collins.

— Formalnie rosyjska, ale współnikami są Włosi. Aldo Aurelio i Leo Baretta pracują w jej oddziale na Sycylii. Vera von Klang jest Rosjanką, żoną austriackiego biznesmena i siostrą Bielagi, prezesa „WOSTOKU”. Rezun i Pietroff mają udziały w spółce. Spotkałem dawnego kolegę z FBI, pomógł mi to ustalić. Oni mają tę firmę na oku. Podejrzewają nielegalne interesy, na razie brakuje im jednak faktów. Przyrzekłem kole-dze, że je dostarczymy, jeżeli nasze przypuszczenia się sprawdzą.

— A co przypuszczasz?

— Według FBI firma „WOSTOK” może być przykrywką rosyjsko-włoskiej mafii. Kawior to pretekst. Wygląda na to, że prowadzą bardzo rozległe i nielegalne interesy, ale są sprytni, nie dają się przyłapać. Mają pokrycie na każdego dolara. Tylko że wraz z otwarciem ich biura w Nowym Jorku wzrósł przemysł materiałów radioaktywnych i tajnych technologii wojskowych. FBI kojarzy te dwa fakty.

Bert Collins przespacerował się po gabinecie i stanął naprzeciw hotelowego detektywa.

— Mam gdzieś firmę „WOSTOK” i jej lewe interesy — powiedział. — Mnie obchodzi nasze kasyno. Czy FBI wie coś na temat Di Morte?

Aron Stock odwrócił głowę, unikając wzroku szefa.

— Nic a nic — przyznał. — Miałem ze sobą jego zdjęcie i odciski palców. Nie figuruje w kartotekach FBI ani Interpolu.

— No to cała nadzieja w Trzech Detektywach — mruknął po pauzie dyrektor Collins. — Idź do nich na górę i opowiedz, co wyniuchałeś. Może oni coś z tego wydedukują.

— Obawiam się, że wątpię — odmruknął Aron Stock. — Ja suszę sobie głowę jak baba u fryzjera i zero efektu. Żadnych powiązań między „WOSTOKIEM” i Di Morte. Ani on nie zna „wybrańców losu”, ani oni jego. To zostało dokładnie sprawdzone.

— Idź do chłopaków — ponaglił Collins.

Aron Stock zakończył swoją opowieść tymi samymi mniej więcej słowami co raport, złożony tuż przedtem Collinsowi:

— Ustaliłem ponad wszelką wątpliwość, że ci ludzie nie znali Di Morte, ani on ich. Nie spotykali się nigdy przedtem. Ani potem.

— To nie było potrzebne — rzucił krótko Jupe.

— Wierzycie w cuda? — zapytał drwiąco hotelowy detektyw.

— Wystarczą fotografie — odparł Jupiter. — Dostarczone panu Di Morte przez trzecią osobę. Plus, powiedzmy, parę szczegółów na temat ubioru czy zachowania. To bezpieczniejsze niż osobista znajomość.

Aron Stock otworzył usta i już ich nie zamknął. Przez dłuższą chwilę patrzył na Jupitera.

— Ty masz łeb — wymamrotał wreszcie. — Niech cię drzwi ścisną!

Jupe nie wytrzymał, parsknął śmiechem, puścił oko do detektywa. I zaraz spoważniał.

— Twoja kolej — zwrócił się do Boba. — Czas wreszcie dowiedzieć się czegoś o Di Morte.

— Brawo — pochwalił Bob. — Ja na to wpadłem już trzy dni temu. Może masz pomysły, jak to zrobić?

— Mam — usłyszeli.

Bob spojrział na Pete’a, obaj na Stocka, wszyscy trzej na Jupitera. A Jupe znowu się uśmiechał. Tym razem z nutką skrywanego triumfu, pod którym ukrywał leciuteńki niepokój.

A jeśli się myli?

— Wskakuj do internetu — polecił Bobowi. — Spróbuj połączyć się z dyrekcją rumuńskich cyrków.

Bob nie zadawał już pytań. Siadł przy konsoli, włączył komputer i zaczął swój koncert na klawiaturze. Trochę potrwało, nim przebił się do Europy, wszedł w Rumunię, dotarł do Centrali Cyrków Rumuńskich. Aron Stock obserwował go z coraz większym zainteresowaniem. Jupe stał za plecami Boba i wpatrywał się w monitor, po którym śmigały cyfry, symbole, obrazy.

Odezwał się urzędnik, z którym Bob miał kontakt już przedtem. To wróżyło nieźle. Tylko co teraz? Przypomniał się tamtemu: impresario, menedżer sztuki cyrkowej z Kalifornii.

— Czekamy na wasze zaproszenie dla woltyżerek — wyświetlił monitor.

— Odpowiedz, że jest już w drodze — polecił Jupe. — I zapytaj o cyrkowca nazwiskiem Etrom.

— O kogo? — nie zrozumiał Bob.

— O Ida Etroma — przesyłabizował Jupiter.

Bob nadal nie rozumiał. Podobnie jak Pete i Stock. Ale wykonał polecenie.

Odpowiedź nadeszła prawie natychmiast:

— Sztukmistrz Etrom przebywa na zagranicznym tournee.

— Proś o bliższe dane! — rzucił niecierpliwie Jupe.

Na ekranie monitora pojawiła się demoniczna postać Di Morte ubranego na czar-no, w cylindrze, z laseczką, okrytego powłóczytą peleryną. Napisy pod zdjęciem informowały, że jest to słynny prestidigitator i mag, mistrz sztuk tajemnych. Nazwisko: Nicolae Romanescu. Pseudonim artystyczny: Id Etrom.

Wszyscy milczeli, czekając, aż drukarka zakończy pracę. Po paru minutach wyrzuciła z siebie papierowy arkusz z portretem i danymi Di Morte.

Milczenie trwało nadal. Aron Stock bezdźwięcznie poruszał wargami. Pete czochrał jasną czuprynę. Bob sapał.

— Jak na to wpadłeś? — zapytał wreszcie, patrząc na Jupe'a z niedowierzaniem, prawie z lękiem, jakby widział ducha.

— To ty wpadłeś — usłyszał. — Twoja zasługa. Bob. Pamiętaj Noemi-Imeo? Przeczytajcie wspak „Id Etrom”.

— Di Morte! — wykrzyknął Pete. — Ale skąd miałeś pewność...

— Nie miałem pewności — przerwał mu Jupiter. — To była hipoteza. Nasunęła mi się, kiedy Bob odkrył, że Noemi to Imeo. Przypomniałem sobie, że na amulecie Di Morte wyryty jest napis ID ETROM. Starczyło odczytać wspak.

— Myśleliśmy, że to zaklęcie — przypomniał Pete.

— Nie mieliśmy racji. Di Morte nie wysilił się zbyt, wymyślając sobie pseudonim. „Di Morte” dobrze brzmi. Nie przypuszczała, że ktoś to rozszyfruje.

— Co teraz? — rozległ się głos Arona Stocka, który właśnie wytrzeźwiał po serii szoków. — Dalej nie wiemy, jak robi swój numer z ruletą. To nie jest zwykła cyrkowa sztuczka.

— Nie jest. — Jupe wahał się, bezwiednie skubał dolną wargę, potem odwrócił głowę, popatrzył w panoramiczną szybę. — Czy mógłby pan zostawić nas teraz samych? — poprosił, trochę zmieszany.

Hotelowy detektyw zmarszczył czoło.

— Nie powinniśmy w takiej chwili mieć przed sobą tajemnic — powiedział po pauzie. — Gramy w jednej drużynie. Mogę, oczywiście, wyjść...

Jupiterowi zrobiło się głupio. Ruchem ręki zatrzymał Stocka, który już szedł do drzwi.

— Musiał pan słyszeć o hakerach — powiedział cicho. — Takich, co się włamu-
ją do systemów komputerowych. Wiemy, że to nielegalne. Mogę panu przysiąc, że nig-
dy nie robiliśmy tego dla własnych korzyści. Jesteśmy detektywami. Tylko wyższa ko-
niecność...

— Wystarczy — przerwał mu Stock. — Jesteśmy po tej samej stronie. Teraz ja wam
mogę przysiąc, że o wszystkim zapomnę. Posiadam wrodzony dar zapominania tego, co
niepotrzebne. Oszczędzam w ten sposób pamięć i unikam kłopotów.

Tym razem on puścił oko do Jupe'a. Roześmiali się równocześnie, a Pete i Bob za-
wtórowali.

Komputer zasapałby się z przepracowania, gdyby umiał sapać. Jupe i Stock gra-
li w szachy, Pete im kibicował. Mieli już za sobą siódmą partię, 4:3 dla Jupe'a, kiedy
Bobowi udało się wreszcie włamać do bankowego konta firmy „WOSTOK”. Były to le-
galne wykazy transakcji, zysków, wydatków i wpływów, dotyczące kawioru astrachań-
skiego oraz ryb szlachetnych. Bob starannie wczytywał się w długą listę importerów,
dostawców, hurtowni. Tracił już nadzieję, że na coś trafi, kiedy pod datą sprzed tygodnia
pojawiło się nazwisko Romanescu.

Krzyknął mimo woli. Jupe, Pete i Stock momentalnie znaleźli się przy nim.

Bob popracował przy klawiaturze i monitor wyświetlił fakturę: partia czarnego ka-
wioru, tyle i tyle ton, czarter Bukareszt-Nowy Jork, dostawca — Nicolae Romanescu.
Przelew gotówką na bank Credit Swiss w Bazylei.

Aron Stock szybko zajrzał do swego notesu.

— Zgadza się — stwierdził po chwili. — Przelewu dokonano nazajutrz po wygra-
nej Lea Baretty.

Teraz przekazy bankowe za bukareszteński kawior na nazwisko Romanescu nastę-
powały regularnie co drugi dzień. Zbiegały się głównymi wygranymi współpracowni-
ków i udziałowców „WOSTOKU”. Co dwa dni Nicolae Romanescu stawał się bogatszy
o setki tysięcy dolarów. Przelewów dokonywał prezes firmy, Igor Bielaga.

— Pieniądze wygrane w kasynach są legalne — wyjaśnił krótko Aron Stock.

Ostatni przekaz został anulowany. Wtedy, gdy Pete się potknął i nie wyszła liczba
21.

— Jutro Di Morte spróbuje się odkuć — powiedział Bob.

Stock wynotował z ekranu symbole przelewów dla Romanescu.

Na zrobienie wydruku Jupe się nie godził: byłby to dowód włamania do systemu.

— Numeru z potknięciem nie możemy powtórzyć — mruknął Pete.

— Zawiadomię FBI — powiedział Aron Stock. — Wystarczy im tych dowodów, by
zastosować tymczasowy areszt. Di Morte nie przyjdzie więcej do kasyna.

— Ja bym się nie spieszył z wzywaniem FBI — rzucił półgłosem Jupe.

— Na co mam jeszcze czekać? — obruszył się hotelowy detektyw. — Wy swoje zadanie wykonaliście. Powiem więcej: chyłę czoło przed wami. Chciałbym mieć takich w swojej drużynie. Ale teraz moja kolej.

— Na pewno? — zapytał Jupe. — A przekręt z ruletą? To byłby koronny dowód dla sądu. Bez koronnego dowodu nikt mu niczego nie udowodni. Wyjdzie na wolność, odzeka i znowu pojawi się w jakimś kasynie.

— Masz cholerną rację, człowieku — mruknął po pauzie Aron Stock. — Ale Collins nie zechce czekać, poniósł już dosyć strat. Po moim raporcie natychmiast zadzwoni na policję.

Trzej Detektywi milczeli. Pete i Bob patrzyli pytająco na Jupitera.

— Pana tu nie było — przypomniał Jupe. — Podobno jesteście po tej samej stronie.

— Muszę dbać o interesy kasyna.

— I co pan osiągnie? — rzucił z nagłym gniewem Jupiter. — Di Morte weźmie dobrego adwokata. Trzeba dowodów, że transakcje między „WOSTOKIEM” i Romanescu nie były legalne. Policja go wypuści. A on natychmiast przybiegnie do kasyna i wytnie taki numer, że włosy wam staną dęba.

— Znowu masz cholerną rację — przyznał bezradnie hotelowy detektyw. — Jestem w kropce.

— Myślę, że zbliżamy się do ostatecznego rozwiązania — powiedział Jupe. — Dziś wieczorem spróbujemy zdemaskować pana Di Morte. Rzucę mu wyzwanie.

— Muszę wiedzieć, co planujesz — powiedział Aron Stock. — Będę wami i powinienem znać scenariusz.

— W porządku — zgodził się Jupe. — Idziemy na całość. Kiedy nasz Władca Fortuny wskaże wybrańca losu i ruletka zacznie się kręcić, demonstracyjnie stanę między nim i stołem. Ogłoszę, że wygrana nie padnie i że Di Morte jest oszustem. Niech dowie, że jest inaczej.

— A jeśli, mimo to, padnie wielka wygrana? — zaproponował hotelowy detektyw.

— Uwierzę w czary — powiedział Jupiter.

Po długiej chwili namysłu Aron Stock aprobująco kiwnął głową.

Plan został opracowany w szczegółach. Dla większej pewności, między ruletą a Di Morte i Dymitrem staną obok Jupe’a Pete i Bob. Stock ze swoimi ludźmi będzie ich asekurował. Służba kasyna tuż po grze wylegitymuje osobę wskazaną przez Di Morte, aby potem sprawdzić, czy jest związana z firmą „WOSTOK”. To byłby dodatkowy dowód dla sądu.

— Powinno się udać — powiedział Bob. — Szkoda tylko, że nie dowiemy się, jak oni to robią. Di Morte za nic nie wyjawia tego sądowi.

— Szkoda — zgodził się Jupe.

Zapadał już wieczór. Do północy zostało parę godzin.

— Coś bym zjadł — wyznał Pete. — Najchętniej tę twoją zapiekankę SADKO, i żeby w niej było dużo wędzonego boczku.

— SADKO to przede wszystkim sałata, dynia i kalafior — przypomniał Jupe.

— A „oraz”? — Pete oblizał się. — Ostatnim razem znalazłem w niej wędzonkę i sałami.

— Nie podniecaj mnie — mruknął Jupe.

— Ja bym się zadowolił słoikiem ogórków maďę in Poland — westchnął Bob.

Tym razem nie zamówili posiłku do pokoju, postanowili zjechać na dół do hotelowej restauracji. Było tam elegancko i gwarno. Gdyby nie wieczorowe ubrania nabyte dla nich przez Collinsa, nie wpuszczono by ich do wytwornego lokalu, który był pełen starych bywalców kasyna, posilających się przed nocnymi emocjami.

Kelner znał Trzech Detektywów. Pojawiły się krwiste steki, waza kapuścianej sałatki coleslaw, szczerze polanej majonezem, i druga, z polskimi ogórkami. Jupe chciał podziękować za stek, lecz było to ponad jego siły. Postanowiwszy, że tak naprawdę zacznie się odchudzać po powrocie do domu, gdzie mniej jest kulinarnych pokus, energicznie przystąpił do pałaszowania, popijając smakowite kęsy mięsiwa sokiem migdałowo-pomarańczowym.

— Martwię się o nią... — usłyszał mruknięcie Boba.

— O kogo? — zapytał, przeczuwając odpowiedź.

— O Noemi. Gdyby wybuchła afera, mogą aresztować ich wszystkich. A ona chyba nie ma nic wspólnego...

— Kto wie? — Jupe wzruszył ramionami, choć i jego to niepokoiło, może nie mniej niż Boba, może bardziej; co pocnie w obcym kraju i na dodatek w więzieniu bezradna i zagubiona Imeo Mitrescu? Co będzie z jej chorowitym dziwnym bratem? — Miejmy nadzieję, że nie ma z tym nic wspólnego — dodał po chwili. — Chyba nie zostawimy jej na pastwę losu, co, Bob?

Bob zarumienił się, Jupe też. Nie patrzyli na siebie, udając, że są bardzo zajęci jedzeniem. Nie zauważyli, jak do ich stolika zbliżył się kelner.

— Jupiter Jones? Liścik.

Jupe otworzył małą różową kopertę i wyjął z niej kartkę. *Ratujcie mnie* — przeczytał. — *Potrzebuję natychmiast pomocy, jestem sama w domu. Noemi.*

Podał kartkę kolegom. Spojrzeli po sobie. Nie musieli się naradzać, szkoda było czasu. Do północy zostały dwie godziny. A o północy, zgodnie z planem, muszą już być z powrotem, w kasynie.

Kanarkowa corvetta ruszyła z piskiem opon i pognała, lawirując między samochodami, zajeżdżając i wyprzedzając limuzyny na głównej ulicy, ryzykancko przeskakując skrzyżowania. Wkrótce ruch się przerzedził: dojeżdżali do przedmieść.

Pete stanął na parkingu przy przystanku autobusowym, paręset metrów od posiadłości Di Morte. Te metry przebiegli, nie zamieniając ani słowa. Bob pierwszy przecisnął się przez szczelinę w murze, po nim Jupe i Pete.

W ogrodzie otaczającym domostwo panowała nieprzenikniona ciemność. Pete prowadził. Szedł na wycucie, które i tym razem go nie zawiodło: po paru minutach znaleźli się przy tarasie na tyłach domu. Balkonowe drzwi, tak jak wtedy, były lekko uchylone.

Chwilę nasłuchiwali. Nie doszedł ich żaden dźwięk, żaden podejrzany szelest. Ciszę jak w grobowcu, pomyślał Jupe i wspiął się na taras, ostrożnie pchnął drzwi balkonowe. Ustąpiły bez skrzypnięcia.

Gdzie szukać Noemi? Nie było jej w hallu ani w saloniku. Jupe pamiętał, które drzwi prowadzą do pokoju dziewczyny. Skinął na Boba i Pete'a. Podeszli razem do drzwi, Jupe nacisnął klamkę.

— Noemi, to my... — wyszeptał. — Jesteś tutaj?

Wydało mu się, że usłyszał cichutki jęk. W ciemnościach nie było nic widać, latarek nie mieli ze sobą. Weszli do środka.

Coś spadło na nich, przygwoździło do podłogi. Pete próbował się bronić, uwolnić z żelaznego uścisku, ale nie dał rady. Wykręcono mu ręce do tyłu i ciasno obwiązano sznurem, nogi spętano w kolanach i kostkach. To samo zrobiono z Jupiterem i Bobem.

— Żegnajcie, głupcy — rozległ się głos Di Morte, przesiąknięty arogancką drwiną.

— Na pomoc! — wrzasnął Pete.

— Możesz krzyczeć do woli, nikt was nie usłyszy. Kiedy wrócę, skończymy z wami. Adieu.

Czyjeś potężne łapska, zapewne ochroniarzy, uniosły ich w górę i zawlekły gdzieś na dół, do piwnicy. Zgrzytnęła zasuwa. Słyszeli oddalające się kroki, potem zaległa cisza.

— Faktycznie, głupcy z nas — wymamrotał Pete. — Dać się zwabić liścikiem...

Jupe w duchu przyznał mu rację: wpadli jak ostatni frajerzy, bez żadnej asekuracji. Jak mógł nie pomyśleć, że to może być pułapka? Oto co robi z człowieka zauroczenie dziewczyną, jeden z nich powinien był pozostać na zewnątrz. To podstawowa zasada, jej złamanie może ich drogo kosztować.

Leżał na plecach, bezwładny jak kukła, i zastanawiał się nad sytuacją. Oczy z wolna przywykły do ciemności. Znajdowali się w wilgotnym kamiennym lochu bez okna, skrupowani fachowo sznurami, jeden z dala od drugiego. A czas biegł. Nic nie przeszkodzi Di Morte w wykonaniu wielkiego numeru przy rulecie, nikt go nie powstrzyma, nie

zdemaskuje. Stock będzie zachodził w głowę, gdzie podzieli się Trzej Detektywi, lecz za chińskiego boga nie przejdzie mu przez myśl, że jak ostatni durnie sami wpakowali się w potrzask.

— Masz jakiś pomysł? — usłyszał słaby głos Boba. — On nas załatwi po powrocie z kasyna. Wylądujemy w jakiejś studni albo na dnie stawu. Nikt nas nie będzie tutaj szukał.

— Corvetta — przypomniał Pete.

— Znajdą ją na drugim krańcu miasta. Być może spaloną, z trzema trupami w środku. To jeszcze lepszy sposób.

— Nie kraczcie — warknął Jupe.

Spróbował przewrócić się na bok. Nie przyszło to łatwo, ale się udało. I nasunęło pomysł. Postępując, zaczął obracać się z boku na bok, centymetr po centymetrze zbliżając się do Pete'a.

— Teraz uważaj — powiedział. — Musimy tak się ułożyć, żebyś sięgnął zębami do supła. Jest za moimi plecami, na przegubach rąk, czuję go. Spróbujesz rozplatać. Może się uda.

Bardzo długo manewrowali, zanim zęby Pete'a zetknęły się z supłem.

— Teraz się nie ruszaj — syknął.

Zęby miał mocne, ale go rozbolały od szarpaniny z węzłem. Szczęka omal nie wyskoczyła z zawiasów. W końcu jednak sznur poluzował się, zaczął z wolna puszczać.

Jeszcze trochę.

Jeden koniec puścił.

Teraz drugi.

Pete zasapał się jak parowóz na ostrym wzniesieniu, co parę chwil musiał odpocząć, łapiąc powietrze, którego brakło w płucach. Ale rozplatał supel.

Jupe miał wolne ręce. Szybko uwolnił nogi, potem rozwiązał Pete'a i Boba. Rzucili się do drzwi. Były masywne, z metalu, nawet nie drgnęły, kiedy natarli na nie we trójkę. Di Morte mógł być spokojny, że mu nie uciekną z piwnicy bez okna i o takich drzwiach.

Nie mieli żadnej szansy.

ROZDZIAŁ 8

Gwóźdź programu cyrku „Luna”

Sala rulety zapełniała się powoli. Do północy zostały jeszcze trzy kwadransy, ale gracze, zwłaszcza stali bywalcy, popatrywali na kotarę wejściową, zza której powinien wyłonić się tajemniczy Władca Fortuny. Czy przyjdzie dzisiaj? Kogo wskaże? Czy nie powtórzy się dramat sprzed dwóch dni? Może Di Morte utracił swoją czarodziejską moc i już nie włada szczęściem, nie przeczuwa wybrańca losu, utracił dar jasnowidzenia?

Najbliższy czas pokaże.

Do najbliższego czasu pozostały tylko trzy kwadransy.

Aron Stock czuł coraz większy niepokój. Kilka razy telefonował do apartamentu Trzech Detektywów. Nikt nie odbierał telefonu. Szef hotelowej ochrony był coraz mniej pewien, że postąpił słusznie, ukrywając przed Collinsem zdobyte przez Boba informacje i ich wspólny plan zdemaskowania Di Morte. A jeśli będzie kłapa? Jeśli znowu ktoś, wskazany przez niego, rozbije bank w kasynie? Wtedy winien będzie Stock, bo nie zawiadomił policji, która zatrzymałaby Di Morte, przynajmniej na pewien czas, do wyjaśnienia, i kasyno nie poniosłoby kolejnej straty dzisiejszego wieczoru.

Daj Boże, aby plan się udał. Trzej Detektywi powinni już tu być. Chyba że...

Wolał nie kończyć myśli. Gdyby jego niepokój był uzasadniony, traci bezcenny czas, stercząc tutaj. Ale poczeka jeszcze kwadrans. Potem podejmie decyzję.

Jego ludzie, wmieszani w tłumek graczy i tylko tym różniący się od reszty, że obstawiali rzadko i najdrobniejszymi sztonami, raz po raz zerkali na szefa. Mieli wyraźne instrukcje: w razie awantury obezwładnić jasnowidza i wyprowadzić z sali. Niech wygląda na to, że zrobiło mu się słabo — tak byłoby najlepiej. Gościom kasyna należy oszczędzać sensacji.

Brzęknął telefon komórkowy.

— Gdzie oni są? — rozległ się zdenerwowany głos Collinsa. — Nie widzę ich na podglądzie.

— Jest jeszcze czas — zapewnił Stock. — Wszystko mam pod kontrolą.

W pewnym sensie powiedział dyrektorowi prawdę. Ale czas uciekał.

Czy rzeczywiście są bez szans wydostania się z piwnicy? Bob i Pete bardzo starannie zbadali drzwi. Gdyby były zamknięte na klucz, Pete zapewne poradziłby sobie z zamkiem. Ale na potężną zasuwę nie ma sposobu.

— Przydałoby się trochę światła — westchnął Jupiter.

— To mogę dla ciebie zrobić. — Bob przypomniał sobie, że ma w kieszeni eleganckie pudełko zapalek z nadrukiem: Hotel „Princess”, Las Vegas; zbierał takie reklamowe pudełka dla wuja-farmera, który był ich namiętym kolekcjonerem. Podał Jupe’owi zapalki.

Migotliwy płomyczek oświetlił ścianę ze starej ciemnoczerwonej cegły. Potem drugą, trzecią. Trzecia przykuła uwagę Jupe’a.

— Chodźcie tutaj!

Pośrodku ściany widniał niewielki prostokąt z jaśniejszych, wyraźnie innych cegieł, jakby niedawno wmurowanych. Jupe opukał ścianę. Prostokąt wydawał głębszy odgłos.

— Rezonuje — stwierdził Bob. — Tu ścianka jest cieńsza. Chyba pusta w środku.

— Może zamurowane okienko? — wyraził przypuszczenie Jupe.

Pete zbliżył się do prostokąta, zaczął go delikatnie obmacywać opuszkami palców.

— Gdybyśmy mieli jakieś metalowe narzędzie... — usłyszał głos Jupe’a.

— Ale nie mamy — odpowiedział mu głos Boba.

Pete przypomniał sobie treningi karate. Przypomniał sobie, jak ich trener rozcinał grzbietem dłoni pryzmę cegieł, a oni, ćwiczący, po jednej, po dwie. Według trenera, mistrza Yong Hui, cała sztuka polega na koncentracji i wierze. Trzeba się skupić do maksimum, nabrać niezachwianej pewności i zadać cios szybki, ze wszystkich sił. Ten, kto będzie skupiony w stopniu najwyższym i przepełniony wiarą, że dokona tej sztuki, rozwali cegłę jak kostkę masła. To się niektórym udawało. Pete’owi też parę razy.

Musi spróbować.

— Odsuńcie się — powiedział półgłosem.

Zastygł w bezruchu, wpatrzony w prostokąt. Najpierw uwolnił się od wszelkich myśli, potem skrzyknął je wszystkie w jeden punkt na środku kwadratu. Zebrał się w sobie, aż mu żyły nabrzmiały na skroniach.

Wrzasnął dziko i uderzył.

Cegły rozprysły się, pięść przeszła na wylot, jak kula karabinowa.

Jupe i Bob stali jak wryci, z wytrzeszczonymi oczami.

W murze widniała spora, nieregularna dziura o postrzępionych brzegach, dokładnie w centrum prostokąta. Rozbiórka pozostałych cegieł zajęła kilka minut. Powstał otwór, przez który mógł się precyzyjnie nawet Jupe.

Znaleźli się w pomieszczeniu pełnym jakichś przedmiotów. Kolejna zapalka doprowadziła Jupe’a do kontaktu i natychmiast rozblęsnęło elektryczne światło. Pośrodku piw-

nicznej sali o łukowatych sklepieniach znajdowała się konsola, a na niej otwarta waliza z dziwną aparaturą. Biegające od niej rurki i przewody ginęły gdzieś w ścianach.

— Co to za maszynaria?... — wymamrotał Jupe.

Bob już ją badał. W miarę badania, jego brwi unosiły się coraz wyżej.

— A niech to diabli! — mruknął.

Coś pokręcił, przesunął, nacisnął jakiś guzik. Salkę wypełnił nagle smród gnijącego mięsa, cuchnącej spalenizny. Ale to był dopiero początek. Inny przycisk wyzwolił spazmatyczne jęki, wycie, pohukiwania. Bob znów pomajstrował przy aparaturze i pomieszczenie zaczęły wypełniać białe, kłębiące się opary, przybierające z wolna postać zjawy owiniętej całunem. Postać rosła, jajowatą głową sięgała już sufitu. Rozjarzyły się purpurowe oczy, z otworu gębowego strzeliły fioletowe płomienie. Zapachniało siarką...

Bob nacisnął wyłącznik. Zjawa oklapła, dym zaczął się rozptywać, ucichły jęki.

— Aparat do wytwarzania efektów — rzucił przez ramię Bob, pochylając się nad walizą, coraz bardziej zaintrygowany. — Oryginalna konstrukcja... — Przybliżył do ust mikrofon. — Jestem duchem i was zjem, uhuuu! — zagrzmiął nieludzki głos, dobywający się jakby prosto z dna piekieł.

— A niech to diabli! — powtórzył za Bobem Jupe, cofając się mimo woli.

Bob był zachwycony.

— Jak żyję, czegoś takiego nie widziałem — rzucił z podziwem. — Prawdziwy skarb dla cyrkowego sztukmistrza. Na fotokomórkę. Automatycznie się włączył, kiedy zakradliście się tutaj. Wirtualna projekcja trójwymiarowa, emisja zapachów i głosów... Fantazja!

Pete słuchał zachłannie, ale Jupe myszkował już w drugim rogu sali, gdzie odkrył niewielki telewizorek z magnetowidem. Obok leżało kilka kaset. Przejrzał je. Wybrał pudełko z napisem „LUNA” i kolorowym fotosem przedstawiającym w zbliżeniu nagi męski tors oklejony dziwnymi przedmiotami: nożyczkami, widelcami, żelazkiem, wianuszkiem żyłek.

Pod zdjęciem widniał nadruk: CZŁOWIEK-MAGNES. NASZ GWÓŹDŹ PROGRAMU.

Jupe poczuł się tak, jakby mu reflektorem oświetlono mózgowicę. Coś się w niej rozjaśniło i zaczęto łączyć, układać, tworząc całość.

Jeszcze nie do końca. Ale bardzo blisko.

— Podejdźcie tu — szepnął.

Włożył kasetę do magnetowidu i uruchomił telewizor.

...Kopuła cyrkowa, arena, wesola muzyczka, klaszcząca widownia, klaun fikający koziołki...

Parada cyrkowców.

Akrobaci, zonglerzy, treserzy z parą tygrysów, słoniem, szympansami.

Kawalkada roześmianych woltyżerek na koniach okrytych ozdobnymi czaprakami...

— Noemi! — woła Bob.

Jupe kładzie palec na ustach.

Orkiestra gra tusz i na arenę wybiega Di Morte w cylindrze i czarnej pelerynie, spod której wylatują gołębie i znikają, trzepocząc skrzydłami, pod kopułą cyrku. Di Morte przywołuje kogoś z widowni i hipnotyzuje go: młody człowiek w dżinsach opęda się przed rojem nieistniejących pszczół, walczy z falami, uwodzi krzesło, które bierze za dziewczynę, potem zastyga w nienaturalnej pozie, wychylony do tyłu, niemal wisząc w przestrzeni, jakby spoczywał na niewidzialnym leżaku. Hipnotyzer przypala mu policzek papierosem i nie ma śladu oparzenia, a młodzieniec uśmiecha się radośnie. Publiczność szaleje, grzmią oklaski, gra muzyczka.

Potem orkiestra milknie. Widownia zamiera.

Na arenę wynoszą stolik z jakimiś przedmiotami i ustawiają pośrodku.

Werble.

W takt werbli wybiega wąty chłopiec rozebrany do pasa i zatrzymuje się metr od stolika. Bębny cichną. Di Morte wpatruje się w chłopca gorejącymi oczami i ten usypia, powieki mu opadają, już jest we władzy hipnotyzera.

I nagle od blatu stołu zaczynają się odrywać ułożone na nim przedmioty — blaszane popielniczki, metalowe szczytce, żelazko, widelce, łyżki, noże.

Zawisają w powietrzu.

Potem płyną w kierunku chłopca i przywierają kolejno do jego torsu, jakby był magnesem.

Ten chłopiec to Dymitr.

Jupe wyłącza telewizor, wyjmuje kasetę z magnetowidu i chowa pod koszulą.

— Już rozumiecie wszystko? — pyta półgłosem.

I przypomina, że w niektórych cyrkach występują ludzie-magnesy. Nie ma tu żadnego triku: istnieją osoby przyciągające metal, zjawisko znane jest od dawna i badane w laboratoriach, choć dotąd nie wytłumaczone przez naukowców. A jeśli mogą przyciągać metal, potrafią także wpływać na metalowe urządzenia. Na przykład zahamować mechanizm rulety. Albo zatrzymać w miejscu stalową kulkę.

Hipnoza jest stara jak świat. Człowiek, który poddaje się hipnozie, staje się niewolnikiem hipnotyzera, jego bezwolnym i posłusznym narzędziem.

— No to jesteśmy w domu — stwierdza Pete.

Bob patrzy na zegarek.

— Za kwadrans północ. Chyba musimy się spieszyć.

Idą do drzwi.

Ale i te drzwi są zamknięte. Też na zasuwę, od zewnątrz. Podziemna salka jest pozbawiona okien. Tu żadnej z masywnych ścian nie da się przebić pięścią. Nie dokonałby tego sam mistrz Yong Hui.

Czy łatwiej jest umrzeć, znając rozwiązanie zagadki? Wcale nie łatwiej, myśli ponuro Jupe i przenika go dreszcz. Nie ma nic gorszego od bezsilności.

W kasynie wybiła północ. Zanim wybiła, Aron Stock podszedł do krupiera i odbył z nim krótką rozmowę.

— Nie mogę — wyszeptał krupier.

— Musisz — syknął Stock krupierowi prosto w ucho. — Aż wrócę.

— Wyleją mnie z pracy.

— Dostaniesz premię. Biorę to na siebie. A jak nie, to klops.

Po czym wybiegł z sali. Przy wyjściu minął się z ubranym na czarno Di Morte. Jasnowidz, z uśmiezkim przyklejonym do ust, zbliżył się do stolika i postawił studolarowy szton na czerwone. Wyszło czarne. Obstawił nieparzyste parą sztonów i wyszła liczba parzysta.

— Pan nie ma szczęścia? — zdumiał się sąsiad, grubasek w białym smokingu. — Pan?!

— Nie mam — rzucił sucho Di Morte. — Nie muszę. Inni go potrzebują.

— Ja potrzebuję bardzo — zatrajkotał grubasek — moja firma jest o krok od bankructwa, przyznaję, byłem lekkomyślny, człowiek ma nadzieję, że się odegra, gdyby dziś pański syn zechciał mnie uratować...

— Może — uciał Di Morte. — Nie mam na to wpływu.

Zmienił miejsce przy rulecie, żeby się pozbyć natręta. Powolutku wypił szklanekę niegazowanej wody mineralnej, podaną przez złotowłosą kelnerkę w typie Madonny. Postawił trzy drobne sztony na czarny kolor i wygrał. Nie miał naśladowców, którzy by obstawiali to samo co on: stali goście wiedzieli, że najczęściej przegrywa.

Dyrektor Collins wpatrywał się w ekran podglądu, napięty jak struna. Nie rozumiał, co się dzieje: jest już Di Morte, a nie ma wciąż Trzech Detektywów i zniknął gdzieś Aron Stock. Dokąd pognął? Co tu jest grane, do stu tysięcy Belzebubów?!

Punkt o dwunastej trzydzieści w progę stanął Dymitr. Był jeszcze bledszy niż zwykle, miał sine worki pod oczyma. Di Morte podszedł szybko i objął go w pól.

— Przyszedłeś powiedzieć mi dobranoc? — zapytał łagodnie.

Chłopiec, jakby pod przymusem, skinął głową.

— Na pewno jesteś zmęczony i senny, ale nie możemy rozczarować tych państwa — Di Morte wskazał na obecnych, zwróconych do nich twarzami pełnymi gorączkowego wyczekiwania. — Co ci mówi przeczucie? — Dymitr nawet nie spojrzął na podnieconych graczy. Di Morte pochylił się do niego. Chwilę był nieruchomy. Potem wyprostował się i wskazał palcem starszego pana w okularach:

— Szczęście czeka.

Pan w okularach wywalił na stół górę zielonych rulonów ze sztonami, każdy po dziesięć tysięcy dolarów. Nie wyglądał na takiego multimilionera, ale prawdziwi bogacze nie dbają o wygląd.

Powoli zaczął układać rulony na trzynastce.

Bert Collins zacisnął usta. Miał chęć walnąć popielnicą w ekran podglądu. Zdążył policzyć rulony. Czuł przedsmak tragedii. Jeśli wyjdzie trzynastka, z kasynem koniec.

Krupier spróbował puścić w ruch koło rulety. Drgnęło, lecz nie ruszyło z miejsca.

Krupier rozłożył ręce, uśmiechnął się przeprasząco.

— Państwo wybaczą — powiedział. — Mechanizm się zaciął. Muszę wezwać dyżurnego technika. To nie potrwa długo.

Dyrektor Collins nie wierzył własnym oczom: odkąd kasyno kasynem, nic takiego się nie zdarzało.

Stary volkswagen dał z siebie wszystko, mknąc na najwyższych obrotach przez uśpione dzielnice Las Vegas. Stanął przed posiadłością Di Morte.

W budce nie było wartownika, brama stała otworem. W żadnym z okien domostwa nie paliło się światło.

Aron Stock wtargnął do budynku, otworzywszy drzwi wytrychem. Znalazł kontakt, w hallu zajaśniały kinkiety. Zobaczył kilka spakowanych waliz.

— Jest tu kto? — zawołał.

Odpowiedziała mu cisza. Z pistoletem gotowym do strzału Stock przemierzył salonik, zajrzał do kilku pokoiów. Wszystkie były puste. Bałagan świadczył, że pakowano się w pośpiechu.

— Hej! Jesteście tutaj?

Nagle zastygł w miejscu: wydało mu się, że gdzieś z dołu, jakby spod podłogi, dobiegły go stłumione głosy, postukiwania.

Stock wrócił do hallu. Pod schodami wypatrzył drzwiczki, za drzwiczkami schody prowadzące do piwnic. Zbiegł na dół, oświetlając sobie drogę mocną halogenową latarką.

— Jest tu ktoś?

— Na pomoc... — usłyszał wyraźnie.

Zadudniły głucho, uderzane od wewnątrz, masywne drzwi z kutego żelaza.

Aron Stock otworzył zasuwę i stanął twarzą w twarz z Trzema Detektywami.

— Jak pan nas znalazł? — zapytał Jupe.

Stock nie miał czasu na długie wyjaśnienia.

— List od Noemi. Przyniesiono mi, zanim go dostałeś. Takie wydałem polecenie. W drogę!

W volkswagenie, za którym podążała corvetta z Pete'em i Bobem, Jupe zrelacjonował Stockowi bieg wydarzeń.

— Gdzie kasetka? — zapytał Stock, dusząc pedał gazu.

Jupe wyjął spod koszuli pudełko z wizerunkiem Dymitra.

Gracze z rosnącą irytacją obserwowali technika w roboczym kombinezonie, który majstrował przy mechanizmie rulety. Krupier trącił go ukradkiem, kiedy na salę wszedł Stock w asyście Trzech Detektywów.

Nikt ich nie zauważył, wszyscy, nie wyłączając Di Morte, patrzyli na ruletę.

— W porządku — mruknął technik i oddalił się ze swoją skrzynką z narzędziami.

— Gra toczy się dalej — oznajmił krupier. — Kasyno przeprasza za techniczną usterkę.

Na obstawionych polach piętrzyły się sztony. Cała ich góra — na numerze 13. Krupier uruchomił ruletę, koło zawirowało, wszyscy wstrzymali oddech. Tylko Di Morte, stojący blisko rulety i wciąż obejmujący w pól Dymitra, który wyglądał na uśpionego, nie okazywał emocji. Na cienkich wargach błąkał się uśmieszek.

Koło zaczęło zwalniać. Kulka jeszcze miotła się, ale i ona zwalniała bieg, zmierzając wyraźnie w stronę dołka z numerem 13, jak gdyby popychana niewidzialną siłą.

I wtedy, między ruletą i Di Morte obejmującym Dymitra, stanął w całej swojej krągłej okazałości jupiter Jones.

Di Morte chciał go odepchnąć. Nie zdążył. Z tyłu chwyciły go mocno ręce dwóch ludzi z ekipy Stocka.

Kulka zastygła w dołku z numerem 9.

— Jest pan oszustem, Nicolae Romanescu — rozległ się głos Jupe'a.

Pan w okularach, który obstawił trzynastkę, próbował wymknąć się z sali, ale nie zdołał. Zadbali o to dwaj inni ochroniarze.

— Protestuję! — wykrzyknął Di Morte dziwnie piskliwym głosem.

Jupe niespiesznie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej metalową łyżeczkę do herbaty. Pokazał ją wszystkim obecnym, później leciutko podrzucił w górę.

Łyżeczka wzleciała, zatoczyła łuk w powietrzu i przylgnęła do piersi Dymitra jak przyciągnięta magnesem.

— To ten chłopak! — rozległy się głosy. — To jego syn! Dymitr!

— Dymitr śpi, jest w stanie hipnozy — powiedział Jupe. — Poddaje się woli pana Romanescu, czyli Di Morte. To on jest oszustem.

Tumult, jaki wybuchł, przeszkodził Jupiterowi w udzieleniu dalszych wyjaśnień. Krupier donośnym okrzykiem ogłosił unieważnienie gry.

Bert Collins w swoim gabinecie tańczył kazaczoka, wykonując radosne prysyudy.

Prywatna awionetka hotelu „Princess”, pilotowana osobiście przez Arona Stocka, podchodziła do lądowania na lotnisku w Los Angeles. Trzej Detektywi mieli już za sobą policyjne przesłuchania i konfrontacje z Nicolae Romanescu, który przyznał się do wszystkiego. To Bielaga, prezes „WOSTOKU” i jeden z szefów rosyjsko-włoskiej mafii, kierował do niego „wybrańców losu”, legalizując pieniądze zdobywane przestępczą drogą. Dymitr, człowiek-magnes, gwiazda cyrku „Luna”, był bezwolnym narzędziem w rękach hipnotyzera. Noemi, w obawie o życie brata, także musiała być posłuszna, nic jednak nie wiedziała o pułapce zastawionej przez Di Morte na Trzech Detektywów. To on napisał liścik. Tej nocy mieli opuścić Las Vegas, przekazując Juve’a, Pete’a i Boba mafijnym oprawcom, w obawie przed zdemaskowaniem.

Jupe chciał zapytać Stocka, co stanie się z Noemi i jej bratem, ale czuł się skrępowany. Miał wrażenie, że hotelowy detektyw domyśla się jego uczuć. Szczęśliwie, wyręczył go Bob:

— Noemi i Dymitr też są w więzieniu? Przecież oni...

Usłyszeli w słuchawkach cichy śmiech Stocka i jego głos:

— Obaj możecie być spokojni, rodzeństwo Mitrescu jest już w drodze do domu. Prokurator nie ma im nic do zarzucenia. Jeśli będzie wam na tym zależało, dyrekcja „Princess” wyśle was na wycieczkę do Bukaresztu i zafunduje bilety do cyrku „Luna”.

Jupe odetchnął z ulgą. Bob też.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1	2
Wejście czarnoksiężnika	
ROZDZIAŁ 2	7
Trzej detektywi podejmują wyzwanie	
ROZDZIAŁ 3	15
Kolejny cud mistrza Di Morte	
ROZDZIAŁ 4	22
Dom nawiedzony	
ROZDZIAŁ 5	29
Wybrańcy losu	
ROZDZIAŁ 6	35
Drugie spotkanie ze zjawą	
ROZDZIAŁ 7	43
W sidłach czarnoksiężnika	
ROZDZIAŁ 8	51
Gwóźdź programu cyrku „Luna”	